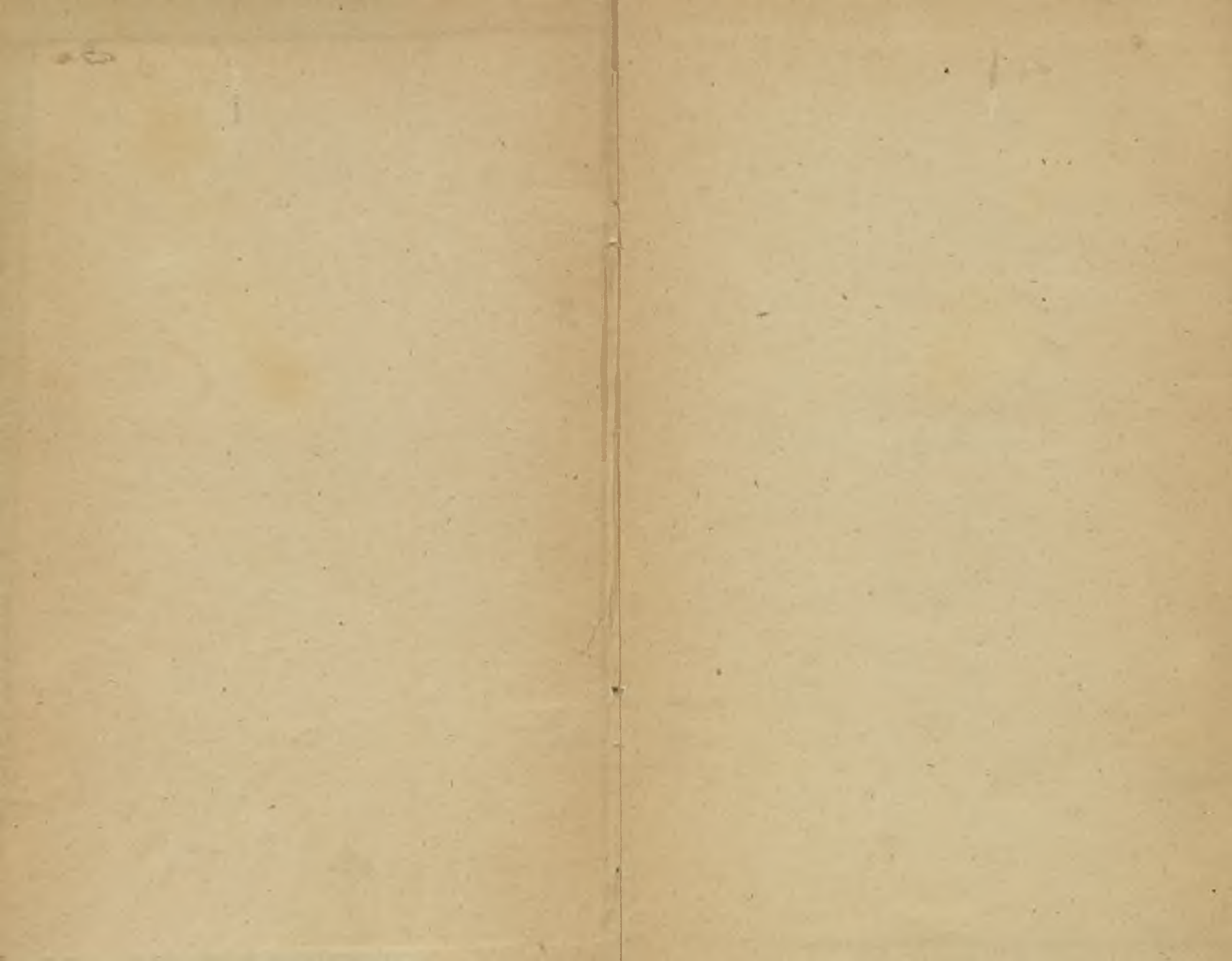




RAMOTY I RAMOTKI.

Ramoty i Ramotki

Augusta Wilkońskiego.

Wydanie nowe i zupełne.

Z życiorysem autora

przez

K. Wł. Wojcickiego.

Z popiersiem autora.

Feliks Kwir
Warszawa.

Tom III.

Poznań,
nakładem i czcionkami Ludwika Merzbacha.
1862.

Starozakonny Janklu Magenflsch!

Skutkiem powszechnego nieurodzaju zboża i pomoru bylla uczynione przezemnie ogłoszenie przedpłaty na drugi oddział moich Ramotek pożądanych ze wsi skutków nie przyniosło; obywatele i urzędnicy Warszawscy, Żydem Wiecznym Tułaczem zajęci, o Ramotkach zapomnieli; — ci zaś panowie, których pięknym nalogiem było niegdyś zachęcanie rodowych pisarzy, obecnie przekonali się, że nie warto swojskich wspierać bazgraczy i że daleko przyjemniejszą znajdują rozrywkę w upiększaniu murów i w czytaniu wyłącznie francuzkich romansów; — z tych tedy przyczyn bylbym w nie-
możności drukowania dalszych pism moich, gdyby nie Waszeć, co dwoma tysiącami złp. z umiarkowanym procentem, bo tylko po pięć od sta na mie-
siąc, przyszedł mi w pomoc. Więc [tę]ż dozwól Waszeć, że nie wielkich panów ale Waszeci imie-
niem ten drugi oddział moich Ramotek naznaczę i ozdobię.

Mocno obowiązany autor

Au. Wi.

cb. fil. k. n. k.

P. S. Com winien, zwróć na termin.

Pisałem w Warszawie 1 października 1845 r.

Wielmożny panie Autorze
RAMOTÓW I RAMOTKÓW.

*Jeżeli to prawde jest, że pan nie ma komu
swoich Ramotków psypisać, to ja pozwolę, aby mnie
psypisywać; tylko sobie będę zamówić, żeby ja zaś
nie miał żadnych kosztów z tego racyi, i żeby tego
nie było powodem do chybienia którekolwiek raty
we wypłatach naszego interesu.*

*Wielmożnemu Panu i Dobrodzieja
bardzo uniżony sługa*

Jankiel Magenfish.

*w mieście Warszawy
7 października 1845 roku.*

Wielce uczynnemu

JANKŁOWI MAGENFISCH

WSPIERAJĄCEMU PIŚMIENNICTWO KRAJOWE

w dowód

WŁAŚCIWEJ WDZIĘCZNOŚCI

ten drugi oddział

RAMOT I RAMOTEK LITERACKICH

przypisuję.

Au. Wi.

ch. fil. k. u. k.

PRZYPADEK,

który na własne oczy widziałem; w istocie mały,
a wielkiego wstydu narobił.

*Przypadek, który na własne oczy widziałem;
w istocie mały, a wielkiego wstydu narobił.*

Wstęp smutny. Powiastka zwyczajna. Zakoń-
czenie wielce dramatyczne i niezaprzecze-
nie oryginalne. Krótki sens moralny w do-
datku.

WSTĘP.

Jedną z wielu upowszechnionych wad naszego kraju jest zbyt duża ilość koni cugowych przy szczupłej liczbie koni roboczych. Bardzo często widzimy dzierżawcę małej wioski, szumiącego czwórka lub piątką cugowych rumaków a nie mającego do gospodarstwa więcej jak dwie nędzne szkapy fornałskie. Wprawdzie i cugowe bywają o tyle ochudzone, że im wszystkie żebra zdaleka policzyć można, ale zawsze są to cugowe, to jest: zaprzężone w szuwaksowany rzemień z mosiężnymi sprzączkami, na krakowskich chomontach, lub, gdy jest pan dumniejszy,

na angielskich szorach. Takiż sam stósunek istnieje co do pojazdów; bryczki porządnej i wygodnej w wielu dworcach szlacheckich nie znajdziesz; o półtoraczny, dobrze okuty wóz fernalski, nie pytaj; natomiast pudło na resorach, gdyby i przyszło czwartą część konającego majątku na to odłożyć, gdyby i za pożyczone pieniądze, być musi, albowiem każda *edukowana* i *dobrego urodzenia* córka obywatelska, wybierając się za męża, przedewszystkiém marzy o koczku, — i niemającemu nowego koczka, liberyi i koni cudzowych nie oddałaby swój rękę, chociażby kawaler łączył w sobie wszystkie przynioty zaneżnego człowieka.

Wyjątek w tej mierze zdarza się tylko przy *desperacyi* miłosnej i wtenczas mówią, że panna zrobiła wielkie poświęcenie. O dziedzicach nie rzeknę nic, bo jestże w Polsce przykład, aby dziedzic dóbr ziemskich, niechby te dobra ziemskie tylko 3,000 złp. czystego dochodu przyniosły, aby, mówię, dziedzic żenił się bryczką, aby dziedziczka dóbr, 3000 złp. przynoszących, bryczką jeździła?... A kto widział? tego u nas nikt nigdy nie żądał. Jest albowiem jak wół wyraźne prawo w kodeksie obywatelskim rzeczypospolitej babińskiej: „wszystkie dziedziczki dóbr ziemskich, jako cierpiące na jeneralne spazmy i familijne hemoroidy, winny się chuścić na rysozach a to pod utratą wszelkich *fumów* dziedziczki.“ W Niemczech inaczej; tam ziemianin,

mający 5000 talarów czystego dochodu, długo się namysla, czy kupić koczobryk, czy jeździć jak dawniej budką, lakierowaném płótnem pokrytą — zwyczajnie *co kraj, to obyczaj*.

U nas w Polsce jest obyczaj, kocz! prawo babińskie po temu, a więc koniecznie kocz!... i chociażby na starość przyszło piechotą podróżować, z młodu najkonieczniej potrzebny jest kocz bez żadnego względu na ilość posiadanego majątku, na niepewność dochodów, bez względu co będzie i jak będzie; główna rzecz, aby żony i córki obywatelskie jeździły, jeżeli nie oszkloną landarą, lub co najmniejszą, karetą! to przynajmniej koczem, mówię wyraźnie koczem!

POWIASTKA.

W dobrach jednego z wielkich niegdys panów służył przed 15laty ekonom, imię jego Rafał, nazywał się Kukawka; wedle powszechnego u nas zwyczaju pobierał zaślug złp. 300, ordynaryi twardego zboża korey 15, wierzchowca na pańskiej stajni i 2 krowy na dworskiej oborze; o nierogaciznie i o drobiu nie wzmiankowano w kontrakcie, tylko ustnie pan komisarz oświadczył: „*resztę wolno waćpanu chować w proporcji*.“

Kiedy Rafał Kukawka obejmował urząd ekonoma w dobrach wielkiego pana, miał jedną kapotę z taśmami od wielkiego święta, — ko-

żuch na zimę szaraczkiem pokryty, — szarawary skórka cielecą oblamowane, — jeden garnitur z surowego płótna na lato, — jedną parę juch-towego obóvia, — nieco bielizny w dębowej skrzynce, — kamizelkę pikową z cynowymi guzikami, — granatowy kaszkiecik z rydelkiem, — jedną brzytwę z paskiem, — chustkę cycową na szyję, (chustek od nosa, szkarpetek i rękawiczek wówczas nie używał), siodło za 10 złp drogo kupione, — bat krótki na jałowcu — charapnik na sarniej nóżce oprawny.

W pięć lat później miał pan Kukawka kilkanaście sztuk bydła rogatego, 2 konie do zaprzęgu, jednego do wierzchu, 3 żrebce na zgoninach, sporą trzodę nierogacizny, drobiu podostatkiem, sprzętów gospodarskich przyzwoity zasób, bryczkę parokonną i jednokonną, wyżła, fuzyjkę, fajkę, tabakierkę, nieco mebelków w domu, kilka obrazków książąt niemieckich, kilkoro dzieci i żonę Małgorzatę. — W 10 lat później pan Kukawka dzierżawił wioskę Skwarek, prowadził hurtowny handel okowitą i po wszystkich jarmarkach tytułowano go: „panie Kukasiński dobrodzieju!“

Kiedy się Kukawka w Kukasińskiego zamieniła i czy się to stało z pozwoleniem heroldyi czy bez pozwolenia, tego opowiedzieć nie mogę; wiem tylko, że w roku 1840, jakoś na jesień, widziałem tłustego obywatela w biurze informacyjném Kaczanowskiego na Krakowskiém

Przedmieściu, który się tamże pilnie dopytywał, ażali już familijne dokumenta Kukasińskich nadeszły z Podola.

Roku 1844, w powiecie NN. w gubernii NN. w dworskiej rezydencji dóbr ziemskich NN. zastawny dzierżawca W. Rafał Kukasiński, dnia 10 grudnia o godzinie 4 z południa, leżąc w merynosowym szlafroku na kanapie, palił ze stambułki gelb-virginią z drejkoeniszkiem mieszaną i następującą prowadził rozmowę z wielce szanowną małżonką swoją.

— Mniejsza o pieniądze; ale, moja duszo, nasza dawniejsza *exystencya* tak jest znana w sąsiedztwie, że ja przyznam ci się, duszko, wstydzilibym się jeździć koczem, zwłaszcza że i ten Kaczanowski jeszcze mnie nie wylegitymował.

— Mnie się zdaje, żeby on cię i wylegitymował, żebyś ty do niego koczem zajechał.

— Tak gadasz, jak się znasz; w Warszawie koczem jeżdżą wszyscy doróżkarze i, jak zapłacisz złotówkę, możesz od rogatki do rogatki koczem paradować.

— Tém bardziej, kiedy w Warszawie za złotówkę wolno każdemu koczem jeździć, dla czego my na wsi, mając 40,000 summy hypotecznój, koczem jeździć nie mamy; ale tobie to nie warto i rozsądnie poradzić, zawsze ci jeszcze Kukawka

z parokonną bryczką w głowie. Bywało się pod wozem, można być i na wozie.

— Poczekajmy jeszcze, kochanie; może ja na ś. Jan skończę z panem hrabią o kupno Paździerza, wtenczas, zwłaszcza że się w inne przeprowadzimy strony, dla czegożbym nie miał kupić kocz; a i koni tymczasem dobiorę maści-
stych i pomyślałoby się o nowych chomontach, o płaszczu szaraczkowym dla Mateusza, byłoby jakoś jedno z drugiem.

— Ty zawsze, kiedy ja ciebie o co proszę, wyjeżdżasz z swojemi obietnicami, a nigdy nie dla mnie uczynić nie chcesz. W całym sąsiedztwie wszyscy mają kocz, nawet żona tego bankruta Kozigłoskiego paradyje koczem, a ja, co całe życie pracowałam, będę jak głupia jeździła bryczką. Wiesz co? trzy miesiące nie byłam w kościele dla téj naszej żółtej bryczki, co ją już wszystkie dziady z całej parafii palcem wytykają, ale gdyby mi przyszło i na Boże Narodzenie nie być w kościele, żółtą bryczką nie pojedę.

— To ją każe Stefankowi przemaalować na zielono.

— Dureń stary z ciebie i kwita; *nie wartalo*, żem wyszukała nazwisko Kukasiński, tobie było na zawsze pozostać Kukawką.

— No, no, moja jejmość, tych żartów za wiele; durniem nie byłem i nie będę, a jeżeli ci koniecznie tak pilno do kocz, niech cię rejment

diabłów weźmie, kupię ci i kocz, tylko mi nie skrzecz nad głową, bo ja w tym roku mam za swoje: siano zgniło, pszenica na pniu porosła, owsa i jęczmienia jak na lekarstwo, kartofle przepadły, a jeszcze do tego propinacją ścisnęli, ani na *credit* szynkować ani tańców po 10ej nie wolno, handel okowitą ustał, wszystko idzie opak.

— Ja sprzedałam dzisiaj okowity 30 garncy Herszkowi.

— Po czemu?

— Po 3 złp. groszy 5.

— Żebyś ty pięć lat konała, wszyscy już i po gr. 10 sprzedają.

— Ale ja dodałam dwa dzbanki wody.

— I cóż, żyd nie poznał?...

— Miał poznać, kiedy ja statki wysmarowałam alkoranem, więc okowita jak zawsze pokazała jedenastą próbę.

— Nic alkoranem tylko alkoholem, nauczże się gadać, jak należy.

— Jak będę miała kocz, to się i gadać nauczę.

Marynka, 8letnia córeczka, w tę chwilę wciąż gnęła za ogon miauczącego kota i rozmowa państwa Kukasińskich zamieniła się w śmiech nad dowcipem Maryni.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia roku, jak wyżej, 1844, pan Kukasiński równo ze dniem wyłoiwszy skórę parobkowi z gorzelni, jął się

do przemierzenia okowity w cztery kufy, które wieczorem zamierzył wyprawić do Grochowa pod Warszawę, i już się słońce ku południowi zbliżało a pan Rafał jeszcze w gorzelni gospodarował, gdy trzecia dziewczka nadbiegła z zapytaniem, czy jegomość pojedzie do kościoła, czy nie pojedzie.

— Powiedz pani, że nie pojedę, bo mi się zmylił rachunek i muszę mierzyć na nowo.

— Pani prosi, żeby jegomość przyszedł powiedzieć, jak się drzwi do *koca* otwierają, bo karbowy Walenty ukręcił tę złotą gałkę.

— Żeby on szelma jasności niebieskiej nie oglądał! kto kazał temu niedźwiedziowi łapą swoją *majndrować* przy koczku! Cham myślał zapewne, że to kłonica przy wozie.

Po tych słowach, ze złością wyrzeczonych, napisał pan Kukasiński na belce siódmą kreskę za ósmym krzyżykiem, wygnał dwóch parobków z piwnicy, wziął do ręki świeżą dębową klepkę z niezestawioną jeszcze nową kadki zacieraną, zamknął drzwi na klucz i spuściwszy tenże klucz do Portugalii, sążnistym krokiem ruszył do dworu.

Przededworem stał w cztery fernalskie konie zaprzężony kocz żółty na wysokich resorach, suknem granatowym wybity, z wązkim koziołkiem bez fartucha, na giętych żelaznych prętach, bardzo wysoko wyniesionym. Koła rozmiaru tych kół, które Ewans daje do sieczkarni, dwa

żółte, dwa czerwone a wszystkie cztery pomiędzy sobą równe, trzymając u dołu kolój tak nazwaną Saską, u góry odbiegały od pukladu z każdej strony po $1\frac{1}{2}$ łokcia; obręcze wyszlufowane wzmacniało 12 nowych, już na wsi zrobionych cybantów. Był to sprawunek za złp. 470 na święta wprost z Pocijowa do Skwarków sprowadzony. Kiedy jegomość przyszedł do koca, karbowy Walenty właśnie próbował kowalskimi obcęgami pochwycić sztyft, w mosiężnej gałce ukręcony, a fornał Maciej małym toporeczkiem podwładał drzwiczki niby ku ulżeniu zardzewiałym zawiasom; jejmość, otoczona dziewczkami, stała zafrasowana tuż przy fabrykantach.

— O Jezu! Jezu! — krzyknął Walenty, gdy go jegomość ową świeżą dębową klepką przez plecy ściągnął.

— A szelmo! a złodzieju! a niegodziwcze! naści patent na ślusarza od pojazdów.

Mateusz, nie czekając kolejki, rzucił toporek na ziemię i jednym susem płot od ogrodu przesadził.

— Dam ja ci toporkiem drzwiczki do koca otwierać, — krzyknął za Mateuszem jegomość, i, popuściwszy Walentego, obrócił się do żony. — Więc ty nie mogłaś się doczekać, aż ja z gorzelni powrócę?

— Dziesiąta godzina wybiła, wszyscy ludzie idą już do kościoła.

— A szelmy! taką mosiężną gałkę ukreć; — i jakżeż teraz otworzyć bez téj gałki! a żeby was paraliż zaraził z waszém majsterstwem, to ta bestya niedźwiedzią łapą ukreć. — I znów jegomość Walentego lunął świeżą klepką dębową raz, drugi i trzeci. Widząc więc Walenty, że mu nie wypada dłużej placu dotrzymać, z obcęgami w rękę dał drapaką i Mateusza na pastewniku dogonił.

— Tylko się, mój mężu, nie gniewaj; ja już przystawię stołek, i tak wliżę bez otwierania tych nieszczęśliwych drzwiczek.

— Patrzajcie, po stołku będzie wchodziła do koczka i przed kościołem po stołku będzie wychodziła z koczka, także mi mądra? ale onaby już i po drabinie wlaźła, byle tylko jechać w koczku. A toćże przecież masz drugie drzwiczki.

— A prawda!

— Jagna bież jeno na pastewnik, tam pod stojgiem stoją obydwaj majstrowie; powiedz Mateuszowi, jak nie powróci do koni, dam mu Narodzenie, aż mu skóra zesinieje.

Jagna pobiegła. Gdy Mateusz wrócił do koni i wielmożnego pana w kolana pocałował, wielmożny pan dał mu tylko jednego kułaka w kark. Mateusz rad, że się na kułaku skończyło, wgramolił się na koziołek i podane mu przez Jewkę lejce i bicz przyjął nie bez nowéj trwogi, czy potrafi z tak wysokiego koziołka szczęśliwie do kościoła zajechać.

— Słuchaj jeno, Mateuszu, — mówił udo-bruchany i widokiem ekwipażu rozradowany jegomość, — zajeżdżając przed kościół, weźmiesz się na lewo i zrobisz około dzwonnicy zakręt, abys stanął tą stroną, gdzie gałka nie ukrecona.

— Dobrze, wielmożny panie, już ja wiem, zaraz od księżej stodoły złożę na lewo.

— Tylko przy księżej stodole ostrożnie, bo tam są doły po kartoflach.

— Ale mężu! któż mnie drzwiczki otworzy, jak zajedzie przed kościół.

— Nie możesz sama otworzyć?

— Ale jakżeż ja z tak głębokiego koczka wychylić się mogę, zresztą może nie potrafię. Czy nie mógłby Grzesio stanąć za koczem?

— W czymżeż pojedzie, obdarty jak złodziej, usmolony jak kominiarz.

— Ja go kazałam umyć i mógłby się ubrać w te rzeczy, które to szynkarka wzięła od tego podróżnego pijaka.

— Jak tam chcesz, tak i zrób.

W pięć minut potem Grzesio, 15letni chłopak, który w lecie żrebecz pasał a w zimie w piecach palił, w buchastym fraku, w dostatnich pantalionach, z nieco zaprzestronnym kapeluszem na głowie, gdy jejmość wsiadała do koczka, stanął w tyle, uchwycił się za rzemienie i z wielkiém ukontentowaniem zawołał: ruszaj Mateuszu! — Patrzył się za odjeżdżającymi wracający do gorzelni zadowolniony jegomość; patrzyły się

z podziwem pozostałe dziewczki dworskie; patrzył się z pastewnika karbowy Walenty; na wsi, kto tylko oczy miał w głowie, patrzył się to na Mateusza na wysokim koźle, to na żółty pukład na wysokich resorach, to na ogniście wystrojoną jejmość w pukładzie, to nakoniec na przebranego Grzełę, którego mało kto poznać mógł.

Droga przez wieś i droga za wsią aż do samego kościoła we wsi sąsiedniej była piaszczystą; Grzesio mocno się trzymał za ramię, na nos wpadający mu kapelusz łokciem na czoło podsuwał i jakoś było wszystko dobrze; — w sercu zaś pani Kukasińskiej, odbierającej najniższe pokłony od idących do kościoła włościan, był raj, żadnym językiem niewysłowiony, a myśli o wrażeniu, jakie na sąsiadach uczyni, gdy koczem z lokajem przed kościół zajedzie, i gdy koczem z kościoła odjeżdżać będzie, piętrzyły się w piramidę dumy, przynajmniej tak wysoką jak szczyty naszych galicyjskich Tatrów.

ZAKOŃCZENIE.

Każdemu ze znających obrządki kościoła rzymsko-katolickiego wiadomo, że w pierwsze święto Bożego Narodzenia jeden ksiądz trzy msze św. odprawia. Otoż w parafii NN. ksiądz proboszcz odprawivszy mszę drugą, szedł ku plebanii a lud wytoczył się na emętarz i witał się ze znajomymi, którzy schodzili się na trzecią mszę św.

Kilka pań z córkami i kilka pań bez córek, kilku sędziwych obywateli, młodzież dorosła, młodzież ze szkół przybyła, czyli szanowne obywatelstwo parafii, o której mowa, także przystało na emętarz i powinszowania dosiego roku krzyżowały się w najlepsze, gdy wtém przy księżej stodole palnął ktoś z bicia. Wszyscy spojrzeli się ku stodole; miałem i ja oczy ku patrzeniu, patrzę się więc, widzę cztery fornalskie koniki, widzę koziołek wysoki a na nim znanego czytelnikom Mateuszką, widzę żółty pukład na wysokich resorach, widzę w pukładzie szlachciankę z ogromnymi kokardami szafranowego koloru; to wszystko widzę, zarazem słyszę na emętarz znagła szerczący się śmiech i równocześnie wrzask, hałas i wołania ze wszystkich stron: „patrzaj! patrzaj! kumie! kumie! wejgo! wejgo!“ A gdy i panie zawrzały: „pfi! pfi! pfe!“ ledwo mi oczy na wierch nie wyszły z ciekawości, z czego się pocziwy lud tak serdecznie śmieje i na co panie wołają pfi! pfe!

Istotnie jestem w kłopotcie, jak to opisać, co i ja w końcu spostrzegłem; — ależ należy cofnąć się na chwilę w opowiadaniu.

Gdy Grzełę ubierali do służby lokajskiej, włożyli na niego frak i kamizelkę i odzienie, na które krawcy żądają sukna łokci dwa; dano mu nawet chustkę na szyję; jak wiadomo, miał i kapelusz przestronny, miał i obówie przyzwoite, proszę zgadnąć, o czém zapomniano?.. Oto Grze-

sio nie miał szelek i gdy Mateuszek, objeżdżając dzwonnice, silnie stuknął o kamień, przestronny kapelusz wpadł Grzesiowi przez nos aż na brodę a dwa łokcie sukna, w najnieszczęśliwszej chwili zwolnione, opadły aż na pięty Grzesiowi; że zaś Grzesio pod dwoma łokciami sukna nie miał czterech łokci płótna, więc oryginał strony odwrotniej był u Grzesia dla wszystkich najwidoczniejszy, a całość postawy i poruszeń biednego chłopca, wiatr igrający z połami fraka, dozupełniły widoku, na który człowiek w godzinę śmierci swojej jeszczeby się roześmiać musiał.

SENS MORALNY.

Rycina tego sławnego *ekwipazu*, którą powyżej umieściłem, niechaj nie tylko dla Kukasieńskich ale i dla tych wszystkich, co nad możność *paradować* pragną, nowym będzie dowodem, że chęć równania się bogatym prędzej czy później smutne, częstokroć najsmutniejsze upokorzenie sprowadza; — niechaj za zwierciadło ich głupstwa posłuży.

CZŁOWIEK STRZELA, PAN BÓG KULE NOSI.

Wybrałem się do dłużnika, zajechałem do wierzyciela.

Zdarzenie obszerne, a z małemi odmianami w całości prawdziwe.

Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.

*Wybrałem się do dłużnika, zajechałem do wie-
rzyciela. Zdarzenie obszerne, a z małemi
odmianami w całości prawdziwe.*

I.

Skutkiem działu majątkowego z braćmi mo-
mi przypadła na mnie pomiędzy innemi i wie-
rzytelność złp. 9,000 z procentem, od lat trzy-
nastu nieopłaconym; dłużnikiem był Jan Do-
bruta, dziedzic trzech wiosek. Gdym doniósł
panu Dobrucie, że nie myślę przedłużać granic
cierpliwości ś. p. ojca mojego, odebrałem przez
pocztę następującą odpowiedź:

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Szanowne pismo WMPana Dobrodzieja,
z dnia 18 Aprilis 1840 roku doręczoném

mi zostało w dniu dopiero wczorajszym, po powrocie moim z Warszawy. Przedewszystkiém muszę objawić radość moję, że niedogodna dla mnie okoliczność jest pod wyłączniém rozporządzeniem WMPan Dobrodzieja i aczkolwiek WMPan Dobrodziej raczyłeś zażądać na nadchodzący św. Jan Chrzciel wypłaty i kapitału i procentu, to jednakże nie wątpię, że przez charakter obywatelski i przez pamięć na przyjaźń, jaka mnie ze ś. p. ojcem WM. Pana Dobrodzieja od lat kilkunastu łączyła, bieżącym procentem kontentować się raczysz a główny interes do przyszłego roku odłożysz; — albowiem generalny nieurodzaj tak w oziminie jako i w jarém zbożu, upadek owiec i różne klęski gospodarskie stawiają miue nateraz w zupełnej niemożności zadosyć uczynienia sprawiedliwym żądaniam WM. Pana Dobrodzieja. Przyczem znajduję miłą sposobność zapewnić WMPana Dobrodzieja o moim dla jego osoby wysokim szacunku, szczerój życzliwości i rzetelném poważaniu, które głosząc, wyznaję się WM. Pana Dobrodzieja obowiązany i najniższym sługą

Jan Dobruta.

Chłodna Wólka 1 Maja 1840 r.

Ponieważ przy posiadanym przezemnie rewersie pana Dobrutę znajdowały się trzynasto-

letnie doniesienia o generalnych nieurodzajach tak w oziminie jako i w jarém zbożu, o upadku owiec i o rozlicznych klęskach gospodarskich, w rzeczywistość więc nieustannego nie-szczęścia trudno mi było uwierzyć; postanowiłem przeto przekonać się naocznie o tegorocznych nieurodzajach w Chłodnej Wólce i w razie konieczności do właściwego trybunału pana Dobrutę przypoznać, aby przeciąć to długie pasmo jego generalnych nieurodzajów i klęsk gospodarskich. Z tém postanowieniem wyjechałem z domu rano dnia 5 maja. Po dwudniowój, nudnej i głodnej podróży 6 maja pod wieczór jadący z cielećkami do Warszawy żydek pokazał mi na górcie wioskę, mówiąc: to jest Małe Pokrzywy, zarobne wieś także do pana Dobrutę należących; jak wielmożny pan będzie minął karcznię, trzeba wielki gościniec do Opatowa na prawo zostawić, a jechać na lewo wedle wiatraku prosto do Wielkich Pokrzyw, zkąd już tylko jedna mała grobelka zaprowadzi wielmożnego pana do Chłodnej Wólki; tylko na tej grobelce ostrożnie, bo tam dziurów pełno i można do jeziora wysypać.

Jak żydek rozpowiedział, tak téż jechałem; ale że kamieni w kolejach mnóstwo a drożyny kręciły się najrozmaitszym gzygzakiem, przeto już samym zmierzchem wjechałem na grobelkę.

Stój! stój! bo wywrócisz, — krzyknąłem.

na mego woźnicę, — i jednocześnie wyskoczyłem w błoto, które było daleko głębsze, aniżeli się po wierzchu zdawało, gdyż aż pod biodra ugrążłem, a ręce, któremi się od szwanku twarzy odeprzeć chciałem, utonęły pod same ramiona i przez to sprowadził się nos mój do linii poziomej torfiastych substancji, deszczową wodą na rzadko rozrobionych, zapachu wcale nie ciekawego.

Nie mogąc się z przykrego położenia wygramolić, oglądam się na Jędrzeja i już usta do wezwania o pomoc otwieram, aliści ani woźnicy, ani bryki, ani koni nie widać; cicho i głucho w około, tylko żaby poważnemi chórami rzechoczą. Rozumiejąc, że i Jędrus i bryka i konie zatonęły, śmiertelnie się wyłakłem; ocieram błotem zabryzgane oczy, wytrzeszczam je w miejsce nieszczęścia; prócz perlącój się kałuży i pochylonój wierzby niczego więcej nie dojrzałem. Pot zimny wystąpił na moje czoło, podnoszę prawą nogę, lewa grzęźnie tém głębiej; dzwigam lewą, prawa leci w przepaść. A dobrodzieju, źle! bardzo źle!... Szukam rękoma kępy albo krzaka jakiego, za któryby się można uchwycić, napróżno, w około błoto i błoto; w tę chwilę dzikie gęsi ponad głową moją zawrzasły a derkacz niemal w samo ucho krzyknął, w pobliżkim lesie puchacz się odezwał; zabłysło, zagrzmiało, ściemniło się jak w worku, deszcz zaczął padać ulewny.

Jędrzeju! Jędrzeju! hop! hop! — na to moje wołanie nikt z ludzi nie odpowiadał, tylko znów bąk w trzcinie zachuczał. Zbieram wszystkie siły i na nowo dzwigam nogi do góry, lecz rychło przekonany, że przez tę pracę tylko głębokość mojej uwięzi powiększam, bo już się pod same pachy zaświdrowałem, rozłożywszy przeto ręce na powierzchnią, postanowiłem spokojnie czekać, dopóki ktoś groblą nie nadjedzie lub nie nadejdzie. W tej bezczynności ciała duch mój rozpoczął dumania filozoficzne, a chociaż skakające mi przed nosem żaby jak gdyby z naigrawaniem wrzeszczały: um-um! um-um! um-um! ja przecież ciągle dumałem, ile pamiętam, nad sceptycyzmem Glanvil'a, Hirnhajm'a, Vayer'a, Huët'a i Bajle'a; nad mistycyzmem Gale'a, More'a, Cudworth'a i Poiret'a, i nie wiem, jaką koleją wpadłem na Hegla, którego twierdzeniu: że wszystko, co jest, dobrem jest!... zaprzeczyć uzasadnione rozumiałem mieć prawo, gdy nagle spostrzegłem na grobli światółko. — Hop! hop! krzyknąłem z niekłamana radością. — Hopa! hopa! hop! była najrozsowniejsza dla mnie odpowiedź. Jeszczem raz hop! hop! zawołał, jeszcze raz hopa! hopa! odkrzykli, i pokrótce ujrzałem lube oblicza zbawców moich, świeczką z drewnianej latarni objaśnione.

— Czy to ty, Andrzeju?

— A jużci ja, wielmożny panie; jak się de-

resz wyskoczeniem pańskim zestrąszył, jak Skaryszewski *) wziął na kiel, tak też i drugiej pary ani sposób było utrzymać; toćże jak przy końcu grobli uderzyłem dyszlem w młynarską chałupę, calusienkie okno na dwór wyleciało a młynarze rozumieli, że diabeł do ich chaty zajechał, i oni dopiero owe raki pieczone zatrzymali i oto, pocziwi ludzie dali latarni i zemną przychodzą szukać wielmożnego pana. Jam myślał, że jegomość nie na tę stronę ale na jezioro wyskoczył, bo tak ogniście chlupło.

Po tém objaśnieniu jął się Andrzej z młynarzem i z jego synem do wywindowania mnie z błota, co niezupełnie było łatwem, i dopiero gdy synal młynarski przyniósł dwie szerokie tarcice, wydobyłem się z ojczyzny węzów, żab, bekasów, derkaczy i bąków, zostawiając im na pamiątkę moich odwiedzin bót jeden, który przy usiłowaniach wygramolenia się zesunął się z lewej nogi.

— Czy jest dziedzic w domu? — zapytałem młynarza.

— A jakże nie ma być? toćże od samego rana jadą i jadą goście: zapewne i wielmożny

*) Wałach, o którym mówił Andrzej, był w Skaryszewie kupiony, stąd go też moi stajenni Skaryszewskim nazwali; dają oni także nazwiska panów, od których konie są kupowane, i zdarzyło mi się, że karbowy skarżył się na moją ciotkę, iż do zgonin bardzo delikatna, a tylko się do owsa ogląda.

pan z powinszowaniem, tylko że oto takie się wielmożnemu panu przytrafiło nieszczęście.

— Co wy mówicie o powinszowaniu?

— A bo to naszego jegomości imieniny, i rok rocznie panowie się zjeżdżają, a on też nie skąpi im niczego, pewnikiem wielmożny pan nie pierwszy raz w Chłodnej Wólce.

— Miły młynarzu, ja tutaj w życiu mojem pierwszy raz jestem i nie wiedziałem bynajmniej, że dzisiaj św. Jana.

— Dzisiaj! właśnie że! dzisiaj św. Jan w Oleju, bo Chrzciciel dopiero po Zielonych Świątkach.

— Więc mówicie, że się dużo nazjechało gości?

— Co moja narachowała, to już podobno siedmnaście powozów z tej oto strony, a od Opatowa takż walili się zaraz z południa.

— Czy często wasz dziedzic sprasza tak wiele gości?

— Gości u naszego państwa nigdy nie branknie; ale nawała to tylko kilka razy do roku: na św. Jan w Oleju, na św. Jadwigę i zaraz potem jakoś w twardej jesieni na imieniny starszej panny a i w zapust bywają kuligi.

— Tatulu! — ozwał się synal młynarski, — a na okrężne, na Wielganoc, na Nowyrok czyto ich mało najedzie?

Śród tej rozmowy zaszliśmy do chałupy młynarskiej, gdzie najpierwszą moją czynnością było umyć się i oczyścić z błota; poczem na-

leżało i zmoczony ubiór przemienić. Wołam więc Andrzeja, aby z tłomoka wydobył zawinięcie z rzeczami. Upłynęło chwil kilka, zanim Andrzej powrócił do izby z doniesieniem, że zapewne pan Pawełek rzeczy nie zapakował, bo prócz pościeli, rannego tołubka, trzewików i miednicy nic więcej znaleźć nie może.

To dopiero mazgaj! nieco rozgniewany wyrzekłem i poskoczyłem sam do bryki szukać w tłomoku zawinięcia z rzeczami. Szukam, przewracam, wydobywam wszystko z tłomoka; pokazuje się, że nie Andrzej ale Pawełek był mazgajem, bo istotnie nie było żadnego zawinięcia.

— Słuchajcież młynarzu! mój służący zapomniał, jak widzę, włożyć do tłomoka rzeczy i bielizny; nie mogę zatem, zwłaszcza przy imieninach, zajeżdżać do dworu w tak ubłoconém ubraniu, więc u was zanocuję, a wasza żona niechaj mi wypierze to, co mam na sobie; ja wam nagrodzę wszelką usługę.

— Ha! jeżeli wielmożny pan nie pogardzi naszą chatą, niechaj i tak będzie. Najgorzej z końmi i z bryką, bo w chlewiku to i na dwa konie za ciasno.

A może tutaj jest karczma i stajnia zajezdna?

— Byłać, ale ja łońskiego roku, podobno że i nasi własni ludzie, przez gniew na żyda arendarza podpalili; nowój też nie ma za co

budować; chybaby przyszło do dworskiej owczarni zaprowadzić, bo na dzisiaj dla przyjezdnych koni do Wielkich Pokrzyw owce wygnali.

— A na wsi u którego gospodarza czyliby nie znalazło się pomieszczenie? Nie chciałbym dzisiaj zawiadamiać waszego pana o mojem przybyciu, z owczarni łatwoby się do dworu doniosło.

— Przez Boga żywego! czy zaś pan przypadkiem nie komornik?

— Zkąd wam przychodzi na myśl komornik? i dla czegoż wy się tak komornika lekacie?

— O! bo trzy lata będzie na św. Jadwiegę, to tyle że u mnie papierów ze swojej skrzynki wysukał, a ledwo że mnie za to dziedzic z młynarza i ze wsi nie wygnął. Aleć bo i on też poganiń chciał podczas obiadu łyżki srebrne i widelce i noże ze stołu sprzątnąć, a tu gości huk! E! była teżto termiedya nie mała; starszy syn pański, pan Kalisz (synowi pana Dobruty było imię Kalixt, ale młynarz dla łatwiejszego wymówienia nazywał go Kalisz), jak go uchwycił za kołnierz, to aż mu całe plecy wydarł; jegomość porwał się do fuzyi, a jegomość, to ja aż mdlenie napadło.

— I jakżeż? wziął srebra czy nie wziął?

— A gdzie tam; jak panowie skoczyli, to ledwo że chudziaczek umknął z dziedzinca; ale co dla naszego państwa było wstyda, to było;

a nazajutrz przyjechał tenże sam komornik z pomocą wojskową i, chociaż już ani łyżek ani noży i widelców nie znalazł, to jednakże spisał owce, bydło i het wszystko, co było we dworze i na sypaniu i na lamuzie, a potem miał i starszy pan i pan Kalisz wielki proces z téj okoliczności i podobno obydwaj... ale to tam o tém nie wolno u nas mówić.... siedzieli pod sekretem w hareszcie przez trzy miesiące, a nam tu imość powiadała, że pojechali do Galicyi po sukcesyą. Śliczna mi sukcesya, kiedy im tam w sukurs posyłali i drób i cieleńta i różne wiktuały.

— Mnie się nie lękajcie, komornikiem nie jestem i żadnej przykrości od waszego pana nie doznacie za to, że mnie przenocujecie.

— Jużci ja miarkuję, że wielmożny pan nie komornik, bo oni straszyciele, dzięki Bogu, czterema końmi jeszcze nie jeżdżą; ale że jegomość oto nie chciał dawać znać do dworu, to mi tak na myśl przyszło owo zdarzenie, które panu opowiedziałem. Niech jeno konie pierw umieścimy, opowiem wielmożnemu panu, co za figla wypłatał jeden z nich naszemu panu na środopust.

— Dobrze, to mi później powiecie, a teraz poszukajcie w głowie, czyby tu kto na wsi koni moich na noc nie przyjął.

— Tatulu! — ozwał się synal, — a u staro Michała?

— Bajesz, — odrzekł ojciec, — wiatr mu chlew wywrócił, w stodółce cały trzyma dobytek.

— A u Szelażka?

— U Szelażka to prędzej; idźno Kasperku, idź i powiedz, że podróżny pan nie ma gdzie koni umieścić; niechby naładował w chlewie dla 4 koni, bo brykę możemy i pod naszą szopę zaciągnąć; nie ma ludzi do mliwa, to i próżna.

Pobiegł synalek do Szelażka; ja tymczasem rozebrałem się zupełnie, a wzięwszy na siebie ranny tołubek, o którym Pawełek nie zapomniał, w cichostępach, w magierce, z fajeczką w ustach, przechodząc się po izbie rozmyślałem, jak ja jutro, chociaż to już będzie i po imieninach, w jednym bócie dom obywatelski pana Dobruty nawiedzę; może też za dnia Kasperek, zachęcony złotówką, bót mój z błota wyłowi, a może ekonom albo pisarz prowontowy parę bótów odprzeda. Temi to drobiazgowymi myślami byłem zajęty, gdy Kasperek przybył z doniesieniem, że Szelażek z miasteczka nie wrócił, a gospodyni bez niego rządzić się nie chce; że jeszcze wstępował do Rzepki, do Marchwiaka, do Siódemki, do sołtysa Sękałskiego i wszędzie, gdzie tylko miarkował, że mają lepsze chlewy, ale nikaj gospodarzy nie zastał, bo wszyscy pojechali do Opatowa i żaden nie powrócił jeszcze. A więc pozostało mi tyl-

ko szukać pomieszczenia moich koni w dworskiej owczarni i w tym celu, nie spuszczać się już ani na Kasperka ani na Andrzeja, udałem się osobiście na dziedziniec dla wynalezienia ekonoma, z którymby można dzisiaj, bez odwoływań się do starszego lub młodszego pana, potrzebie mojej zaradzić. Przyszedłszy na gumna, spostrzegłem 20 wyprzężonych karet i powozów, drugie tyle bryk i bryczulek; stajnie, wozownię, stodoły i owczarnia na roścież pootwierane; pełno ludzi w rozmaitych liberyach, roznoszących na wszystkie strony obroki, siano i koniczynę, które pijany jak bela karbowy szczodłą ręką wydawał. Gdy się spytał o ekonoma, pokazano mi gorzelnię, mówiąc: „tam teraz mieszka pan ekonom, bo się w oficynie komin zawalił.“ Idąc do gorzelni, przechodziłem tuż obok dworu; było dom drewniany, świeżo pobielony; ganek i cztery filary dzieliły całe pomieszkowanie na dwie nierówne części; po prawej stronie było pięć okien, po lewej trzy, wszystkie wewnętrznym światłem rozwidnione, i z prawej i z lewej strony ułatwiał głośny gwar wesołej biesiady. Zbliżam się do wskazanej mi gorzelni, gdzie spodziewałem się zastać ekonoma przy registrach, alisci i tu słyszę rozochocenie i zamaszystego na skrzypicy mazura a przez okno widzę, że tańczą; pomyślałem więc, zapewne i panu ekonomowi imię Jan w Oleju. Proszę parobka z go-

rzelni, aby wywołał pana ekonoma, lecz zdradza się pijany hołysz.

— Masz oto dziesiątkę a poproś pana ekonoma, bo mam pilny interes.

— Czy waspon z Opatowa?

— Z Opatowa.

— To może od szynkarza Ignacego?

— Od szynkarza.

— A ha! to po okowitę.... za rychłożecie przyjechali, jeszcze się ludzie kręcą. Słuchaj jeno wason, ale nie trzeba ekonomowi powiadać, ja także mam 12 garcy na sprzedaż.

— Po czemu?

— Spuszczę po 25 groszy.

— Za drogo.

— Co wason mówi? okowita 10 próby, a toćże pan gorzelny i pan ekonom po 25 groszy sprzedają.

— Oni mają mocniejszą.

— Gadałby wason zdrów; ja najpierw z kufy dla siebie utoczę a, co oni biorą, to już z wodą, której doleję podług tego, jak się okowity utoczyło.

— 12 garcy za mało.

— Ja waspanu mogę sprzedać co tydzień po 20 garcy i to *reguralnie*.

— A czy oni nie zmiarkują?

— E! to tam już moja w tém głowa; a chociażby i zmiarkowali, to oni wiedzą, że ja także świadom, co oni robią.

— A dziedzic?

Bartłomiej się roześmiał i szyderczo odpowiedział:

— On ma gości, polowanie, do miasta pojedzie, doma w karty zagra, gdzież mu tam do gorzelni zaglądać; a potem czy on to jest przy wydawaniu kartofli, przy mierzeniu słodu? sam pan ekonom nie wie, ile my z panem gorzelnym bierzemy.

— Przecież przy końcu pokaże się ubytek?

— To tam już ekonomski w tém rozum; a chociaż i dziedzic dostrzeże ubytku, no i cóż? jeżeli odprawi ekonoma, to my z nowym ekonomem poznamy się znowu i kwita.

— Słuchajcież, jak wam na imię?

— Bartłomiej.

— Otóż tedy, mój Bartłomiej, ja dzisiaj nie mogę kupić waszój okowity, bo jestem za innym interesem, ale jutro wieczorem na pewno przyjadę.

— To trzeba dopiero z północa; mnie tu wason zastanie zawsze w sieni przy piecu, albo na drodze krzyknąć dwa razy jak puszczyk, to ja już wyjdę do wasana.

— Zgoda, mój Bartłomiej, tylko mi teraz wywołajcie ekonoma.

— A! to może wason przyjechał po pszenicę? o! Jankiel przedwczorajszej nocy resztę zabrał.

— Ja nie po pszenicę przyjechałem.

— No, no, już jestem doma, a wygnali je dzisiaj do Wielkich Pokrzyw. — Poskrobał się Bartoś w głowę i wszedł do ekonomskiej izby.

Niebawem wybiegł mężczyzna w granatowym surducie, silnego wzrostu, włosy blond kędzierzawe, nos ogórkowaty, oczy małe, usta rozwarte, czoło niskie, twarz tłusta, gorącym potem oblana.

— Przyjechałem do pana Dobruty, ale że na grobli miałem przypadek...

— A to pewnie przy Żurawinie, zaraz za cegielnią.

— Nie wiem, czy przy Żurawinie czy za cegielnią, dosyć że po szyję w błocie ugrązłem; więc zanim mi ubiór oczyszczą, przenocuję u młynarza a waćpana proszę, abyś rozkazał moje 4 konie i brykę przyjąć do dworskich zabudowań.

— Owszem, owszem, jasnie panie; ale to dzisiaj imieniny naszego pana, możeby się nasz pan gniewał, gdyby jasnie pan u młynarza nocował, gdybym nie dał znać; może jasnie pan w przyjaźni z naszym panem a zabawiłby się jasnie pan, bo mamy gości z całego sąsiedztwa.

— Właśnie dla tego, że macie gości, dzisiaj we dworze pokazać się nie mogę.

Długo jeszcze z podochoconym ekonomem rozprawiałem, zanim się przekonał, że wola moja nocowania u młynarza jest nieodmienna.

II.

Z pierwszym brzaskim jutrenki już mnie sen w chacie młynarza opuścił. Rzeczy, chociaż jeszcze wilgotne ale oczyszczone, leżały przy mojem posłaniu; pocziwa młynarka całą noc na téj dla mnie usłudze spędziła. Ubierając się, mimowolnie obudziłem młynarza.

— Wielmożnemu panu pewnikiem twardo było leżeć?

— Nie, mój gospodarzu, siana było podostatkiem i dobrzeście usłali; ale ja zwyczajny jestem rannego wstawania.

— O! toćże jeszcze godziny brakuje do wschodu słońca.

— Ja chciałem poprosić waszego Kasperka, czyby mi zawczasu bóta nie wynalazł w tém błocie, gdzie wczoraj popasałem.

— Na co Kasperka? ja wielmożnemu panu sam wyszukam, wszakże tam i tarcice od wczoraj zostały.

Tych słów dokończając, wstał pocziwy młynarz, przeżegnał się, zinił pacierz, umył twarz i ręce, zarzucił na siebie niebieską katanę i wyszedł razem zemną przed chatę.

— Czy wielmożny pan słyszy? jeszcze żydki przygrywają we dworze.

— Dobrze się bawią, więc im nocy nie starczyło.

— Proszę wielmożnego pana, u naszego państwa to potarzyni trwają czasem i dwa dni, nie przymierzając jak na chłopskiem weselu; ale to wielki wydatek! Tutejszy kucharz i do pomocy jeden jeszcze ze sąsiedztwa od poniedziałku gotowali rozmaite mięsiwo, ciasta piekli, robili różne figle ze śmietany i z cukru, a wczoraj to już dla jakiegoś pańskiego wymysłu ażę lód kręcili w takich cynowych słoikach; ja to tam wszystko widziałem, odnosząc ryby do kuchni; a co się kupnego od pachciarza masła zmarnowało! człek nie mógł i patrzeć, jak je rzucali na ogień, żeby się niby mokre drzewo lepiej paliło.

— Czyż nie mają z roku na rok suchych sągów?

— Kaj tam; dzisiaj rąbią, dzisiaj wożą i dzisiaj palą.

— Powiedźcie mi, czy wczoraj były także imieniny ekonoma, bo i u niego tańczyli?

— Jemu na imię Jędrzej; ale u niego taki zwyczaj, że jak we dworze goście, to i u niego goście; jak do dworu panowie się zjadą, to i do niego zjadą się ekonomowie z żonami, pisarze prowentowi, gorzelnicy i leśniczowie; o nie chybi, że i oni dzisiaj jeszcze tańczą; niechno się wielmożny pan chociaż w trzewczkach przejdzie przez ogród ku gorzelni, to ich tam wielmożny pan posłyszysz; ja tymczasem

pójdę poszukać pańskiego obóvia, spróbuję hakiem, to się i ułowi.

Promienie złotego słońca od sześciu godzin pieściły się na majowym ziemi kobiercu; lud wiejski pracował po ogrodach i polach, zawieszane w powietrzu skowronki hymn życia dzwoniły, dzień wiosny płynął z niewysłownym urokiem, a jeszcze były zamknięte okienice dworca, przed którym na ławce pod wystawą oddawna siedziałem. Znudzony chrapaniem, które z obu stron uszu moich dochodziło, już miałem powtórnie udać się w pole dla obejrzenia istotnie nędznych urodzajów, gdy na raz w pokojach na lewo usłyszałem głos ochrypły i przytłumiony:

— Michałek! przynieśno wody do picia i na głowę; daj fiszbin i szczoteczkę, uchyl jedną okienicę, a pani nie budzić.

— Jasieńku, ja już nie śpię.

— Cóż, kochanie, tak rychło się obudziłaś?

— Potrzeba myśleć o śniadaniu, bo dzie sięć jeszcze osób zostało, a może już i oni powstawali.

— Czy tylko wina będzie na dzisiaj?

— Nad ranem przywiózł Walenty ośm garnicy; spytam się Sapeczyńskię, ile zostało.

— Ostatni to raz, że od Abrama kupuję; ja myślałem, że się ze wstydu pod ziemię schowam; a to proszę cię, aniołku! kwaśna łocyga aż mnie samemu zęby podrętwiały. Uważałem

nawet, że i sędzia, który, jak go znam od lat 30, nigdy nie dał się naglić, dzisiaj rano i on już kieliszki na stronę odstawiał.

— Jeszcze kiedy za gotowe pieniądze to jakie takie.

— Kundel żyd, miewa on dobre, da i na kredyt dobrego, ale zapewne rozumiał, żeśmy nad ranem smak pogubili; muszę ja mu jutro verba veritatis powiedzieć.

— Proszę wielmożnego pana (ozwał się ktoś trzeci, zapewne Michałek), od samego rana czeka jakiś podróżny pan, nocował u młynarza, a dzisiaj zaglądał po wszystkich budynkach; chodź w pole, był w gorzelni, rozpytywał się, ile owiec, ile bydła na drugim folwarku.

— Ot! patrzaj niegodziwca! to zapewne Strojjeski przysłał komornika; a tak go się prosiłem, tak zaklinałem na honor, na uczciwość!... Jużto miejska słodzina nigdy dla szlachcica szczerą nie będzie. Kochanie! czy też tylko srebra pochowane?

— Nie wiem, czy Ignacy oddał Sapeczyńskię.

— Przyjechał dzisiaj, jakby się wziął, a ja właśnie miałem pomówić z zięciem pana sędziego, żeby mi na opłatę zaległej raty grudniowej czterech tysięcy pożyczył. Żmija! gotów tutaj w jego obecności zrobić zajęcie; zgubi mnie z kretezem.

— A to tylko, duszko, pospiesz się z ubraniem; może się da ułagodzić, zanim się goście

obudzą. Michałku, czy śpią jeszcze na drugiej stronie?

O! śpią jeszcze wszyscy; ale co ten pan komornik, to siedzi na ławce przededworem, i niech wielmożni państwo będą łaskawi ciszej mówić, bo on może słyszyć.

Po tej rozmowie na lewej stronie dworca zupełnie ucichło; natomiast na prawej zaczęli goście kaszleć i spluwać i już zasłyszałem, jak jeden począł pana Dobrutę przeklinać za kwaśne wino, drugi za niedogotowane ryby, trzeci za zbyt pańską *) zwierzyńę, kiedy wtém z lewej strony wyszedł mężczyzna otyły, wysoki, z małym kosmykiem siwych włosów na łysiej głowie, garbonos, z zaczerwienionemi oczyma, w zielonej kamletowej kapotce, w nankinowych pantalionach, — a patrząc się [na mnie wzrokiem bazyliuszka, wyrzekł z widocznie przytłumionym gniewem :

— Pan pilny zapewne masz interes, kiedy na straży przed mojami drzwiami usiadłeś.

— Gdyby była karczma lub jaka ławeczka w ogrodzie, byłbym zaprawdę nie zajął miejsca w przedsionku.

— I w czymże interesie?

— W moim własnym.

*) Kiedy w lecie ubita zwierzyzna po kilku dniach przechodzi w zgnilizną, mówią, że to jest pańska zwierzyzna; i istotnie wielcy panowie albo naśladujący wielkich panów popełniają pomiędzy innymi i to głupstwo, że nad świętą przenoszą cuchnącą zwierzyńę.

(*Nieco grzeczniej.*) — To pan zapewne jesteś nabywcą sumy Strojieskiego.

Nie znam żadnego Strojieskiego.

(*Zupełnie grzecznie.*) — Daruj pan dobrodziej; jak widzę, mylnie mnie uprzedzono; zdaje mi się, że miałem przyjemność wchodzić z panem w układy o założenie papierni, i zapewne przyjechał obejrzeć miejscowość?

— Przyjechałem przekonać się o generalnym nieurodzaju tak w oziminnie jako i w jarém zbożu, o upadku owiec i o tych wszystkich kłeskach gospodarskich, o których mi pan dobrodziej listem swoim z dnia 1 maja doniosłeś, żądając cierpliwości na rok czternasty.

(*Z najwyższą grzecznością.*) — A szanowny i zacny dobrodzieju!.. czy być może???!!! Więc to oglądam pana Augustyna! najmłodszego z synów pana Franciszka! z którym od dzieciństwa żyłem w najszczerszej przyjaźni! (obejmując mnie rękoma). Witam! witam! po stokroć witam i przepraszam cię, kochany panie Augustynie! A gdzież ja też, przez miłosierdzie Boskie! oczy podziałem! wykapany ojciec! jakbym patrzył na nieboszczyka, kiedyśmy razem do Środy jeździli. Mój Boże! ileżto lat temu?

Temi wyrazy zostałem rozrzuwiony, albowiem kilka dni przed swoją śmiercią opowiadał mi mój drogi i ukochany ojciec, że z Janem Dobrutą w Poznaniu do szkół jezuickich a następnie do Palestry chodził, i że na sej-

miku w Środzie spólny mieli przypadek, gdy się na nich w kościele (Bogu dzięki bez wielkiego uszkodzenia) szafa ze świecami bractwa rożańcowego wywróciła, tłumiąc przez to dwa głosy niepozwalające. Później razem i wojskowo służyli i dobrze się bili.

— Proszę, proszę do naszego sypialnego pokoju. Dla takiego gościa, jak ty jesteś, Augustynku, to każdy zakątek naszego domu jest otwarty. A bodajże ci też Bóg tego nie pamiętał, że wczoraj nie przyjechałeś.

Wchodząc do pokoju, spostrzegłem białą spodnicę, przyskrzynioną we drzwiach przeciwnych, którą na tamtą stronę wciągnąć usiłowano.

— Duszko! nie uciekaj, chódz jak jesteś; to syn naszego przyjaciela, który ciebie od ślubu prowadził. Jadwiniu! to pan Augustyn, syn pana Franciszka.

— Zaraz! zaraz, mój mężu, tylko włożę szlafroczek.

Jakoż pokrótce ukazała się pani Dobrucina, niewiasta licząca około lat 60, niska, szczupła, brunetka, z miłym na ustach wyrazem. Również jak jej mąż znalazła, żem do ś. p. ojca mojego jak dwie krople wody podobien. Podczas gdy z panią Dobruciną pierwsze zamieniał wyrazy, szanowny gospodarz domu, założywszy na nos okulary, pisał na biurku bilecik do Abrahama; a że litery były calowe i przypadkowo pod moje

oczy podpadły, mimowolnie więc przeczytałem następujące wyrazy:

„Sześć, nr. 6 garncy a fl. 30, ale zaklinam cię, Abramku, pod chairem, aby było to samo, które brałem u ciebie podczas superrewizyi. Za cztery tygodnie będzie strzyż wełny, to się zupełnie obliczymy. Proszę cię także, abys był łaskaw przysłać dwie butelki dobrego araku, cytryn sztuk dwanaście i cukru głowę jedną. Do Szmula, twojego szwagra, piszę osobną karteczkę o flaki i o wołowinę; upomnij go, aby tłuszczu nie obdzierał.

Jan Dobruta mp.

Chłodna Wólka dnia 7 maja 1840 r.

P. S. Jeżeli Szmul zabił cielę, niechaj całe przysyła, nb. tłuste, i żeby miało najmniej trzy tygodnie, a i sera holenderskiego przysłój mi bochenek, tylko żeby nie był czerstwy.

J. D.

P. S. Jeżeli chcecie wziąć okowitę po 40 groszy, to przyjedźcie z Kalmusem jutro rano, ale rano! Malaga daje mi po groszy trzydzieści dziewięć.

III.

Rzecz przy drugim*) śniadaniu.

Osoby.

Jan w Oleju Dobruta, dziedzic Chłodnej Wólki z przyległościami.

Pani Jadwiga, jego żona.

Sabinka, trzydziestoletnia panna. } Dzieci Jana Dobruty
Kalikst, rokiem od Sabinki } z pierwszej żony (au-
młodszy. } stryackiej hrabianki
Łopatkowskiej).

Soter Malicki, lat 25 liczący, syn pani Dobruciny z pierwszego męża.

Elżbietka, Rafał, Joachim, małoletne dzieci Jana i Jadwigi Dobrutów.

Zygmunt i Kazimierz, synowie po Józefie Dobrucie, rodzonym bracie Jana w Oleju, współ-

*) W pół godziny po kawie z grzaneczkami dano wódeczki i porteru, surowej szynki, śledzia, apszpik z octem i z oliwą, kawior, indyka na zimno, kminkiem posypanych śliwek na słomianym rożenku, wiśni w konfiturze i kilka butelek wina francuzkiego, z którego tylko Badurski i Serpetyński po trzy szklaneczki wypili. W dwie godzin później z obawy, aby goście młodości głodowych nie uczuli, zaproszono do tak nazwanego drugiego śniadania, które się rozpoczęło barszczem z uszkami. Było rzeczywiście obiad bez szyszan; obiad zaś z szyszanami kucharz dopiero na godzinę 6 obiecał.

Kto z gości w domu polskiego szlachcica skarży się na skąpy żołądek posiłek, jest albo bezczelnym kłamcą albo nigdy nienasyconym żarłokiem i bezdenną kufą z wiekuistym pragnieniem. Wielu z braci szlachty odmówi niekiedy składki na cel dobra ogółu, ale gościa swojego każdy i zawsze, częstokroć nad miarę rozsądnej mądrości, napasie i napoi po uszy.

właściciele Chłodnej Wólki. (Wszyscy w Chłodnej Wólce mieszkający).

Sędzia Badurski, dziedzic Łysoboków.

Gomułkowski, zięć sędziego, dziedzic Mroczkowa, radzca dyrekcyi szczegółowej.

Pakułowicz, dziedzic Zagrzebia.

Reputalski, dziedzic z Brzmiącej Górki.

Finezy, naddzierżawca dóbr rządowych.

Serpetyński, były porucznik, dzisiaj dzierżawca dóbr szlacheckich.

Biedrzyńko, gubernialny urzędnik do szczególnych poruczeń.

Prętkowski, geometra.

Au. Wi. dziedzic (podówczas) Mydlowa.

Dwóch lokai w liberyi roznosili półmiski z potrawami i odmieniali talerze. Michałek w szarym spencerku podawał na skinienie butelki wina, w chłodnym kominku rzędami poustawiane. Sapeczyńska, klucznica domu, pokazała się dwa razy, przynosząc na uboczny stoliczek w połowie zrujnowaną piramidę ciast i cztery talerze wczoraj napoczętej galarety.

Sędzia Badurski do pani Dobruciny. Jużto państwu dobrodziejstwu można pozazdrościć kucharza.

Pani Dobrucina. Kiedy trzeźwy, to wcale nie źle gotuje.

Badurski. Pani dobrodziejko! wczoraj wystąpił, co się nazywa! a z takim barszczykiem

jak dzisiaj, przyznam się, że od kilku lat nie spotkałem się nigdzie.

Pakulowicz. Ja zawsze powtarzam, że na wsi dobry kucharz to grunt.

Reputalski do Dobruty. Państwo czy z Opatawa miewacie wołowinę?...

Dobruta. Czasem i nasz żydek zabije wołu.

Biedrzyńko. Teraz wyszedł reskrypt gubernialny, ponawiający surowy zakaz pokątnej rzezi.

Finezy. Bardzo słusznie, bo rzeźnicy, opłacający konsens w miasteczkach, konkurencyi z wiejskimi żydkami wytrzymać nie mogą.

Badurski. I ztąd też mięso ładajakie.

Prętkowski. W ogólności należy pomyśleć o żydach.

Dobruta. W ręce pana sędziego (*obracając się do mnie*). Łaskawa bytność w domu naszym pana dobrodzieja! Oby przyjaźń, która mnie przez lat 40 z ojcem nierozzerwanemi łączyła węzłami, szczery odgłos w sercu syna znalazła!

Te ostatnie wyrazy wymawiał Dobruta z rozczuleniem i wypił duszkiem trzypiętrowy kielich węgryna. Z uczuciem wdzięczności uściśnięciem rękę Jana w Oleju i w tęż chwilę pojąłem, dla czego ś.p. ojciec mój przez lat trzynaście powolnym był na żądanie cierpliwości.

Podczas kolei wniesionego zdrowia chwile, zbywające mi od dziekczynnych obywatelstwu ukłonów, poświęciłem pannie Sabinie, ale śród rozmowy z uprzejmą sąsiadką słyszałem wiele

krzyżujących się na wszystkie strony zdań, twierdzeń i dowodzeń. Umieszczę je w takim następstwie, jak moich uszu dochodziły; nie jestto całość, ale niektóre odłamki są ciekawe.

— „Potrzeba deszczu, bo cały siew diabli wezmą.

— Ja także w sobotę strzelałem bekasy.

— Powiadam panu dobrodziejowi, że nasz regent w czepku się rodził.

— Wiem, wiem, ale głowa też to, głowa do wszystkiego.

— Panie Reputalski! bardzo proszę. Sotkeru, dolój pełno.

— Wszystkie nasze uczucia winny mieć ten jeden główny kierunek.

— Co za dziewczyna! jój jedno spojrzenie może najstarszemu człowiekowi zniszczyć pomieszać, a jak edukowana! bo to i tańczy i gra na fortepianie i język francuzki posiada *expedycy*.

— Nietylko że się nie odegrał, ale się zadłużył; Rafałowi winien 400 złp., bił zawsze swoje pieniądze a przy wystawce nie miał ani za grosz szczęścia; ja rozumiem, że przegrał do 3000 gotówką; to już drugi rok, że się tak łatwo pieniędzy za wełnę pozbywa.

— Ale bo i pocóż Maladze przed strzyżą sprzedaje?

— Pani dobrodziejko, u mnie wszystko w swoim czasie być musi, i sałata i szparagi i

rzodkiewka, bo moja żona nowalijki pasyami lubi.

— Kto? co? ona??? ani grosza nie ma posagu; jej rodzice durzą go tylko, a on zapożycza się u wszystkich żydów; zobaczycie, jaki to koniec będzie.

— Ha! żeni się z familiantką.

— Nie idzie zatem, żeby się przed ślubem zrujnował, dosyć czasu po ślubie.

— Na honor powiadam panu, że prawda, na własne oczy widziałem; jeszcze go regent upominał, aby tak głupiej transakcyi nie robił.

— Więc od św. Jana żyd wchodzi w posesyą?

— W ręce pana dobrodzieja: „żeby nam się lepiej działo!”

— Co oni zawsze tą gliną wojują; nie prawda! nie z jednej gliny, — jest glina na cegły, na garnki i na porcelanę, otóż ja z gliny porcelanowej.

— Ale, panie Pakułowicz! z cegły wznoszą Bogu świątynie, w garnkach jeść gotują, a porcelanowych naczyń używają częstokroć do posług najpodrzedniejszych.

— Jak pozna, żeś jeźdźcem kapryśnym i niełitościwym, zrzuci cię i już mu potem nie dasz rady; tak samo znarowiłeś kasztankę.

— Nie wiem, czém się to dzieje, że okowita nie idzie w górę.

— Ja kazałem i więcéj brać anyżu i staram się, aby próbę trzymała; cóż, kiedy nie ma hurtownego kupca, i gdyby nie własne karczmy... Panie Reputalski dobrodzieju, czy ta trzecia karczma na Krzyżówce do Brzmiącój Góry należy?...

— On wszystkie konie pochwaci a szkoda, bo to piękny zawód.

— Do ślubu kupił Meklemburezyki.

— Widziałem, jak przyszły; ciężkie, stare, pożałuje on niedługo swoich siwków; jego brat znów zapalił się do wiackich, które Oleś kupił od pułkownika.

— Pan Zygmunt ogłaszał zawsze dziwne wyobrażenia.

— Żał mi, że się panu dziwnemi wydają; niemniej przeto oczynszowanie włościan stanie się ogólném szczęściem kraju, ulżeniem naszemu sumieniu a nawet korzyścią samychże właścicieli dóbr ziemskich.

— Za pozwoleniem, za pozwoleniem; w czém ja to ulżę mojemu sumieniu i jaką ja to znajdę dla siebie korzyść, gdy chłopom daruję moje własne grunta?

— Swoich własnych gruntów nie darujesz im, panie, tylko oddasz i to jeszcze za czynsz częstkę téj ziemi, na której oni od tylu wieków byli przeciążeni pańszczyzną, darmochemi i rozliczną posługą nad umowę, wbrew wszelkiej sprawiedliwości; częstkę ziemi, którą oddawna

kupili u nas krwią swoją, niosąc tak często życie w obronie nie swoich ale naszych szlacheckich swobód i przywilejów. Czyliż i posługi wojenne do pańszczyzny zaliczyć mamy?...

— Pańszczyzna, którą, panie Zygmuncie, uważasz za takie straszdyło, którą tyle razy przytaczasz, jest to dobrowolna umowa.

— Jest to ucisk bogactwa nad niemożnością.

— Wszyscy bogatymi być nie możemy.

— Ale nikt nie powinien żądać za bezcenną nagrodę ciężkiej na swoje wygodę i zbytki pracy.

— Nie rozumiem, co przyjdzie dobrego dla kraju, gdy chłopom grunta rozdacie.

— Gdyby nie więcej jak zwiększenie liczby obywateli, już to samo będzie szczęściem kraju; — wszakże nadto rozszerzy się przemysł rolniczy, — wzniosą się szkółki wiejskie, — uczucie godności pracowitego człowieka zaszczerpi się i rozkrzewi, — cały kraj inną przybierze postać.

— Tak, ale w moich dochodach pokaże się *minus*.

— Pokaże się *plus*, bo przez sprawiedliwe obwarowanie stosunków pomiędzy właścicielami a włościanami wartość dóbr podniesioną zostanie; role folwarczne, które przy niechętniej robowoiznie pańszczyznianych włościan wydają dzisiaj cztery ziarna, wydadzą przez staranniejszą pracę ziarn dziesięć, a dochodu, jaki właściciele

dóbr osiągną, nie będą potrzebowali rozpraszać na nieustanne zapomogi chłopków.

— Więc pan chcesz chłopów zostawić bez opieki?...

— Patryarchalna opieka, jakiej dotychczas włościanie pańszczyzniani doznawali, czyniła ich niewiele wyższymi od zwierząt, — usamowolnienie postawi ich w rzędzie ludzi.

— Ale któż mi będzie w roli pracował, jak ja nie będę miał pańszczyzny?

— Każdy, kto pragnie zarobku.

— Nasz chłop nie pójdzie na najem.

— Pójdzie, skoro mu nie kwitami do karczmy ale gotówką zapłacisz, skoro z pracy znajdzie przyzwoity zysk; — nasz chłop nie jest leniwym, a własną korzyść każdy pojmie z łatwością.

— Nie daj Boże doczekać, bobyśmy w jednym roku wszyscy z torbami poszli; niech jeno chłop zostanie oczynszowanym, z samą dumą nie pójdzie do dworu na najem.

— Próżna obawa; oczynszowanie włościan odbywa się przez lat kilkanaście, będzie czas do przygotowania się na zmianę gospodarstwa, chłopek otrzaska się z dumy inniemaniej; — pojmie on rychło, że przez zysk z najmu do najbliższego miejsca, jakim będzie dwór, zwiększy mienie dla swoich dzieci, zbierze pieniądze na czynsz, na podatki, na zasób w razie nieurodzajów; nasz kmiotek ma pojęcie zdrowe; —

prócz tego pastwisko i drzewo w lasach dziedzica będą zawsze czyniły i oczynszowanego zależnym od dworu.

— W tej mierze masz jegomość *racyą*, boć ja i cenę wódki mogę mu podwyższać.

— To kupi okowity w sąsiedztwie.

— Jakto? *mój* chłop ma kupować trunki, gdzie mu się spodoba?

— On nie będzie pańskim chłopem.

— Ale przecież on zawsze będzie mieszkańcem na *mojej* ziemi.

— Nie, mylisz się, panie; na własnej, na hipotecznie własnej.

— Jakto? więc oni i hipotekę swoich zagonów regulować mają?...

— Tak jest, inaczej nie byłaby to rzeczwiśta własność, cel byłby chybionym.

— Panowie! panowie! panowie! na co to gadać o tém, co być nie może, nie powinno i nie będzie.

— Panie Wi... w ręce pana dobrodzieja! „J. W. Dobruciny zdrowie!”

Odbierając z rąk sędziego potężny kielich, chciałem go zamienić na mniejszy, ale pan Dobruta wyrzekł znacząco: „Nie wolno mi przymuszać do zdrowia méj żony, ale przykro mi, że nie zasługujemy...” Naturalnie na taki zarzut nie było innego ratunku, tylko że tym samym kielichem, co sędzia Badurski, spełniłem zdrowie pani Dobruciny. Ledwo żem nieco

odetchnął, słysząc, że pan Biedrzyńko pije w ręce pana Reputalskiego zdrowie panny Sabiny; niezadługo Gomulkowski toż samo zdrowie wypił do mnie; niepodobna było ubliżać grzecznej sąsiadce a więc wypilem w ręce Serpetyńskiego. Serpetyński pił, jeżeli się nie mylę, w ręce Sotera; aliści wtém zarumieniony Dobruta wnosi zdrowie Wielkopolan, a więc dziękuje zdrowiem Sandomierzan. — Wtém podają mi kielich ze zdrowiem solenizanta w oktawie!... potem jeszcze słyszałem, ale już niewyraźnie „kochajmy się!” potem mi się w oczach ściemniło i tylko czułem, że mnie ktoś kłął twarzą brodą po ustach! i serdecznie ścisnął.

IV.

Zamknięty w ciasnej kajucie z gwałtownością morskiej ulegając chorobie, słyszałem uderzenie każdego bałwana i dotkliwie czułem, jak burzą rozkołysany ocean bezprzestannie miotał okrętem, jak go silnemi podrzucił barkami, jak bił taranem potężnych wałów; słyszałem, jak świstem wichru naprzemian jęczał, szumiał, wrzał, wył i warczał; sądziłem, że olbrzymie ciało ostatnią siłą Tytanów idzie z piekłem w zapasy na śmierć i życie; że wszystkie żywioły razem waleczą, bo i ogień i woda ciskały się po oknach kajuty, a na wstęgach

czerwonego płomienia pioruny, z przeraźliwym łoskotem prując stłoczone powietrze, ostatniego zniszczenia okropną roznosiły groźbę. Na raz zdawało mi się, że jestem przeniesiony na pokład nieszczęśliwego okrętu, i jakże bolesny widok ścisnął serce i duszę!... Czarne chmury roztoczyły w około żałobę, tylko na zachodzie ostatnie promienie krwawego słońca, tworząc zwodniczy blask mniemanej jutrzeńki, grobowe rzuciły światło na zdruzgotane maszty, porwane liny, skręcone reje i zniszczone żagle, przy którychto szczątkach jakaś szalona tłuszcza do jęków bezrozumnej rozpaczyny mięszała głos wesołej biesiady. Majtkowie bez sternika, jedni drugim u zerwanego z zawias rudła nieumiejętne wydawali rozkazy; oficerowie bez względu, że jeszcze kotwica silnemi szpony głęboko w twarde dno morza zaryta, na czołnach z odłamków okrętu, zbitych kośćmi poginionych braci, unosili podłóścią, występkiem i zbrodnią zdobyte bogactwa; — gdy wtém błądy płomyk przy kompasie ręką Przedwiecznego zmienił się w jasność zbawienia i przed tą jasnością nagle umilkła burza... Odwaga, stałość i wierność majtków uszanowaniem zostały, tułaczy okręt na bielącej się przestrzeni spienionego morza, jakby na szacie niewinności, wolno się kołysał, a promienie chwały otaczały go do koła a były tak bardzo jasne, że moje powieki mimo woli rozwarły się szeroko...

Sen-lito?... czy jaw?... Na piaszczystym dziedzińcu stał murowany dworzec, pierwszy raz w mém życiu widziany; przed dworcem siedziały trzy białogłowy; u ich nóg spoczywał wyżełek; po oknach mojej kajuty spływały ostatnie krople burzy, która się kryła za wiercholki pobliskiego lasu; znajdowałem się w wyprzeżonej karecie, głowa moja ciężała jak ołów.

Spuszczając okno karety, wychylałem głowę i zabieram się do uczynienia kilku zapytań, gdy w tę chwilę dwie młodsze białogłowy wyraźnie się uśmiechnęły, przebudzony zaś piesek wprost na mnie przeraźliwie szczekać począł. Chłodny wietrzyk owiał moje łysinę, szybko domyslałem się przyczyny śmiechu dziewic i gniewu wyżełka, cofam się do karety, podnoszę leżącą obok mnie perukę, zasadzam ją za uszy i powtórnie się oknem wychylam; — aliści rzeczone dziewice w głos się rozśmiały i uciekły, wyżełek uskoczył w tył i z pod ławy, jakoby przełknięty, jeszcze głośniej ujadać począł, a pozostała wiekiem starsza pani zdawała się mówić oczyma, „jakże ty wyglądasz?!...“ A więc powtórnie z lekkim uderzeniem w wiercholek tylnej części czerepu wsunąłem się znów do karety; macam się po głowie, przekręconej na wspak peruce należy dąć kierunek i już całe otwierając drzwiczki, rozpoczynam następującą rozmowę:

— Proszę pani, racz mi łaskawie powie-

dzieć, gdzie ja się znajduję?... i daleko stąd do morza?... kiedy ja przybyłem na ląd stały?... kto pani jesteś?... co ja tu porabiam?... co znać czy ta karetą?... czyja to karetą?...

— Karetą jest sędziego Badurskiego; pan nią przyjechałeś bez woźnicy, konie biegły przez pola i łąki, przez zagony i rowy; nasi ludzie zatrzymali je pod lasem i sprowadzili przededwór; pan wysiąść nie chciałeś, broniąc mężnie mniemanego okrętu, kazałam więc wyprządz konie a pana zostawić spokojnie, dopóki sam nie przekonasz się, że okrętowi żadne już nie zagraża niebezpieczeństwo. Stangret pana Badurskiego, który pana w tém dopióro miejscu dogonił, opowiadał, że w Chłodnej Wólce, stojąc na dziedzińcu z zaprzężonemi końmi, gdy przed nadchodzącą straszną burzą pod wystawę stajen schronił się, pan wybiegłeś ze dworu, wsiadłeś do karety, i *haw!* krzyknąłeś, a gdy on nie zdążył lejc pochwycić, konie, zniecierpliwione dwugodzinném czekaniem, szybko z miejsca ruszyły i byłyby pana z karetą prostym gościńcem do Łysobyków zaniósły, ale zestrąszone piorunami uderzyły na bok i, jak to już panu powiedziałam, przez zagony i przez rowy bliższej szukały drogi. Oto jest wszystko, co wiem o pańskiej podróży; nie pozostaje mi jak tylko dodać, że jestem żoną właściciela tej wioski i że pana proszę na gotową już, czystą

herbatę, która po morskiej burzy będzie dla pana najlepszém lekarstwem.

— Nieskończone dzięki! — te słowa wymawiając, wysiadłem z karety; — ale przyznaj pani, że tak niekorzystnie zaimprovizowany gość z łaski pani korzystać nie może; raczjć dozwól pani, że skrócę chwile mojego zawstydzenia i co rychlój stąd odjadę.

— Winę pana Dobruty, którego zbytnia gościnność wszystkim jest znana, niesłusznie pan za swoją uważasz i niesprawiedliwie chcesz nas pozbawić przyjemności bliższego poznania, na co ja pozwolić nie mogę, bo mąż mój, którego powrotu z drugiego folwarku co chwila się spodziewam... otóż i on!... jego prośby będą zapewne skuteczniejsze.

Na te wyrazy oglądam się, widzę, że bryczulką, w dwa srokate konie zaprzężoną, wjeżdża na dziedziniec jakiś szlachcic z przymrużonemi pod słońce oczyma, nad którymi przytrzymywał rękę, tworząc z pięciu swoich palcy zastępstwo umbrelki. Stała bryczka, szlachcic wyskoczył na ziemię, patrzy się z blizką na mnie, patrzę się na niego, poznajemy się; — on ucieszył się widocznie, mnie jakby kto wrzącą oblał wodą, albowiem był to Maciej Węchocki, mój wierzyciel, któremu ja od lat trzech z przekazu jego szwagra, pana Pazurkiewicza z Warszawy, skutkiem pięciu porachunków

i ośmiu prolongacyi na drożdżach lichwiarstwa urosła sumę złp. 8,000 dłużny byłem.

— A! istotnie gość i prawdziwy gość a, mówiąc nawiasem, w dzisiejszych krytycznych czasach zwłaszcza bardzo szanowny.

— Dawno to już było mojem życzeniem.... powinnością... i obowiązkiem.

— Więc panowie się znacie?... — zapytała pani Węchocka.

— Jakto, nie wiesz, duszko, kogo miałaś przyjemność powitania w domu naszym?...

Nastąpiły objaśnienia, weszliśmy do pokoju; pan Węchocki uśmieł się serdecznie, gdy mu żona opowiedziała wszystkie szczegóły mojego przybycia; dano herbatę, dwie panny Arbuzińskie, Teresa i Emilka, siostry saméjże pani Węchockiej, (wcale gładkie dziewczęta) uprzyjemniły dalszą rozmowę i jakoś mój pierwszy strach przed wierzyicielem szczęśliwie przeминаł.

Na usilne żądanie państwa Węchockich karetę i konie pana Sędziego Badurskiego odesłałem do Chłodnej Wólki i w Miodówce zamocować przyrzekłem. Jakoż po lekkiej wieszce pan Węchocki odprowadził mnie do oficy, gdzie dla mnie wygodne przygotowano posłanie.

Skutkiem ciągłego bólu głowy ani chwilę zasnąć nie mogłem, i już było z północy, gdy przez ścianę usłyszałem z początku ciche szepty

później śmiech dziki, wyrazy najgwałtowniejszego gniewu, następnie płacz i zębów zgrzytanie i znów śmiech, klask i głośnie rozkazy:

— Mości książę, winienes mi posłuszeństwo; jesteś moim wazalem, krew twojej rodziny i wasz majątek do mnie należą; — tymczasem oddaj mi groszy dwieście, oddaj! albo to żelazo w łonie twojem utopię....

W żaden sposób pojąć nie mogłem, co ta mowa znaczy, i potrzeba było długiego czasu, abym się przekonał, że nie śpię i że nie jestem pijany.

Parol z dwudziestu tysięcy pod *damę*, dwieście groszy *mazzo*....

Za temi wyrazami nastąpiło najboleśniejsze westchnienie i jednocześnie przeraźliwy zawrask: „moja żona! moje dzieci!”

Gwałtowne uczucie litości wstrząsło sercem mojem.

Wyskoczyłem z łóżka, jak to mówią, *na równe nogi*, zapaliłem świecę i pobiegłem do tego pokoju, z którego głos tak okropny uszu moich doleciał.

Na zbutwiałej słomie siedział w podartej koszuli wiekiem zgrzybiały mężczyzna; — jedną ręką przyciskał mosiężny krzyżyk do obnażonej pierci, drugą sięgał po szarą sukmanę, która mu za nocne i zaienne służyła okrycie.

— Toś ty, łotrze Węchocki!... spostrzegając

mnie wchodzącego, krzyknął nieszczęśliwy starzec, zerwał się z posłania i wzrokiem wściekłości nieme rzucając przekleństwo, zanim się bronić zdołałem, pięścią uderzył w piersi, — „oto masz dla lichwiarza nagrodę!”

Gdyby nie rzetelność mojego ojca, że mam piersi zbudowane na urząd, z pewnością byłbym téj ramotki nie pisał, bo o jedną linią delikatniejsza kosteczka piersiowa byłaby, nie wątpię, pękła na dwoje pod tak silnym razem. — Ha! pomyślałem niebawem, — nie można czekać na drugie poczęstunek, a więc szybko pochwyciwszy ręce starca, przekręciłem je na krzyż i uczyniwszy go w ten sposób moim więźniem, badać począłem:

— Któż tobie powiedział, że ja Węchocki?... kto ciebie obkładał, że ja pieniądze rozpożyczam na lichwę?... Waryacie! jak żyw jestem, takiego grzechu nie popełniłem jeszcze.

— Ty! ty nie pożyczyłeś mi pieniędzy?!... A wtenczas, kiedym perską księżniczkę kupił do mego seraju; — a wtenczas, gdym poselstwo na Wołoszczyznę wyprawiał, aby handel pomarańczami urządzić?... Albo kiedy w Aleksandryi na wyścigach konnych ów ogromny zakład do brazylijskiego cesarza przegrałem, — czyż to nie ty, szatanie, wpisałeś się przed warszawskim regentem na hipotekę ostatniej ojcowizny mojej, ojcowizny, w której dziecinne

lata spędziłem... w której ostatni raz moje matkę widziałem...

— Więc ty pamiętasz swoje matkę?...

— Czy Henryk matkę pamięta?... matkę! anioła stróża mojej młodości...

Łzy obfite stoczyły się po twarzy, dziki wzrok zmienił się w spojrzenie boleści, głos starca zadrzał a całą jego postać nagle opanowała bezsilność. Uwolniłem ręce nieszczęśliwego i, powiodłszy do posłania, zwolna złożyłem na słomie.

— Starcze! ty się omyliłeś; — ja nie jestem twoim wrogiem, ja w imieniu twojej matki pomoc dla ciebie przynoszę....

— W imieniu matki?... tak jest, ja miałem matkę! bardzo dobrą matkę! Ale jam tę dobrą matkę i żonę i dzieci w najokropniejszej nędzy pogrążył, jam najdroższe na ziemi istoty wtrącił do grobu... lichwiarzowi sprzedałem ich życie, lichwiarzowi oddałem mój honor.... tak, tak, ty wydarłeś mi wszystko, pozostawiłeś rozpacz i przekleństwo, które ci z lichwą oddaje.... Niech każda godzina twojego życia zmieni się na całą wieczność najsroższych męczarni, niechaj twoim imieniem...

— Henryku! powtarzam ci, że jesteś w błędzie; jam tobie nigdy nic złego nie uczynił, ja przychodzę w imieniu twojej matki; — raczej powiedz, w czym ci mogę być użytecznym, czego chcesz, co ci ulgę przynieść może?...

— Wielki Boże! więc ty nie jesteś Węchocki?... Tak, tak, — ten łotr nigdy mnie mo-
jém imieniem nazywać nie ośmielił się; — on
mi zawsze mówił: „jaśnie wielmożny panie!“
dopókim mu reszty majątku nie oddał; — wów-
czas dopiero nazywał mnie nierzetelnym dłu-
żnikiem i przed sądy zapozwał... a potem przy-
šli słudzy sprawiedliwości i wszystko..... wszy-
stko zabrali, — a Marya, moja Marya! z wy-
razem przebaczenia na mojem ręku skonała.

Za temi wyrazami całe ciało wyprężyło się
konwulsyjnie, oddech ustał, tylko piana toczy-
ła się z ust sinych, zacieśnionych, — i zda-
wało się, że już ostatnia dla niego wybiła go-
dzina.

Przerażony tak okropnym widokiem nie wie-
działem, co czynić, i już po pomoc do dworu
pobiedz zamierzyłem, gdy nagle niepojętém
przeczcuciem wpadłem na myśl użycia magnetyz-
mu; — i jakżeż wielkiem było moje zadziwie-
nie, gdy po kilkunastu pociągnięciach chory
odzyskał oddech i zasnął spokojnie.

— Siłą mojej woli żądam od ciebie, abys
mi szczerą wyznał prawdę we wszystkiém, o co
się ciebie zapytam.... Będieszli dobrowolnie
posłusznym?

W skurczonych rysach twarzy chorego od-
bijala się walka wewnętrzna, uporna i zgry-
źliwa.

Powtórzyłem pociągnięcia nad głową i nad
sercem, — wówczas dopiero wymówił:

„Będę posłusznym.“

Przez kilka godzin z małemi przestankami
badałem nieszczęśliwego; — objaśnienia i ze-
znania przejmowały naprzemian zgrozą i lito-
ścią.

Rodzaj choroby podług jego jasnowidzenia
był dwójaki: moralna rozpacz i nadużycie siły
fizycznej, a potem brak najkonieczniejszych po-
trzeb do życia, brak powszedniego pokarmu.

Wyuzdana lekkomyślność bogatego szlach-
cica i niepokonana namiętność do gier hazard-
owych z jednej, a najnukezemniejsza prze-
wrotność podłego lichwiarza z drugiej strony,
przywiodły nieszczęśliwego do stanu ostate-
czności.

Była to historia życia wielu naszych nie-
gdyś paniczów, historia głupoty i marnotraw-
stwa. Na zapytanie, czyli nie widzi środków
pomocy albowi téż ulgi, odpowiedział, że już
wszystko za późno, — i prosił mnie jedynie,
abym jego synowi wskazał papiery, które zło-
żył w familijnym grobie żony swojej.

— A wiesz ty z pewnością, że twój syn Ta-
deusz żyje jeszcze?

— Ja go widzę w tej chwili.... pod drze-
wem palmowém skwarnej Afryki stoi oparty
o działo i patrzy w te strony, gdzie wszy-
stkie jego myśli utkwily. Nieszczęśliwe dzie-

cko marzy o szczęściu oglądania mnie jeszcze... nie wie, że gdy powróci, nie znajdzie już ani domu ani ojca... i świętą radość największej nagrody łąz syna obleje... i na moim grobie będzie się pytał o imię mojego mordercy... wówczas wypełnisz prośbę moję. O więcej nie badaj mnie dzisiaj. Bóg nagrodzi twoje litość, jaką mi obecnie okazujesz; — ja zaś w zawdzięczeniu odkryję ci tajemnicę, z której powinieneś korzystać.

Łotr Węchocki, gdy jeszcze w Warszawie trudnił się lichwiarstwem, zanim się rozłączył z swoim szwagrem Pazurkiewiczem, zanim tu przybył odgrywać rolę godnego obywatela, przedsięwziął uzyskać szlachectwo, ale nie na drodze spełnienia czynów szlacheckich, — gdyż ku temu żadnego nie miał usposobienia; — przez podrobienie więc dokumentów oszukał władzę i zyskał herb. Do téj występnej i podłej szachrajki użył za pomierném wynagrodzeniem jednego ze swoich dłużników, znającego sztukę naśladowania starego pisma, żółcenia papieru i odciskania dawnych pieczęci. — Gdy więc dzisiaj Węchocki będzie się u ciebie upominał o wypłatę lichwiarskiego długu, powiedz mu, że kapitał dawno zapłaciłeś a procenta zobowiązał się zaspokoić pan Łozik, jego dobry znajomy z Galicyi. Na wspomnienie Łozika Węchocki zadrzy jak liść jesienny i uczyni wszystko, co zechcesz.

— Dla czegoż ty sam przy swoich z nim porachunkach nie korzystałeś z téj tajemnicy?...

— Albowiem ta tajemnica jest mi na jawie obcą i znam ją tylko w chwilach snu magnetycznego.

— Powiedz mi, w którym miejscu i kiedy umawiał się Węchocki z Łozikiem o podrobienie dokumentów.

— Było to o godzinie 5ej z południa, 19 marca 183... w pomieszkaniu Węchockiego. Okoliczności, które towarzyszyły téj umowie, były następujące.

Tutaj jasnowidzący opowiedział mi najdrobniejsze szczegóły owej niecnój szachrajki. Nie przytaczam tych szczegółów, bo były *zbyt brudne*; to tylko należy mi nadmienić, że przy wypłacie Węchocki Łozika oszukał, o czém w innéj ramotce opowiem.

Już było po 12ej z południa, gdym się powtarzaném krzaniem Węchockiego przebudził.

— Dzień dobry! dzień dobry! To jest, co się nazywa sen smaczny, a myśmy się obawiali, czy pan dobrodziej nie zachorował.

— (*Patrzac na zegarek*). Godzina dwónasta! najmocniéj przepraszam za moje ospalstwo.

— Cieszy nas to, że się pan dobrodziej w domu naszym wywczasować raczył.

— Czy moje konie nie przysły?...

— Równy ze wschodem słońca przyjechał pański człowiek a przed godziną przysłał pan

Dobruta o wiadomość, czy pan dobrodziej zdrowszy jesteś.

Nie tracąc chwili czasu, ubrałem się pośpiesznie i udaliśmy się do dworu. — Po uprzejmym z paniami przywitaniach i po smacznej kawie pan Węchocki prosił mnie, abym jego nowo założony ogród obejrzał.

Płeć piękna oświadczyła chęć towarzyszenia nam, ale jegomość mrugnął oczyma na znak, że świadków nie potrzebuje.

Ledwożeśmy w pierwszą weszli ulicę, szanowny dziedzic Miodówki zamiast zapoznania mnie z owocowymi drzewami i z kwiatkami od razu przystąpił do rzeczy.

— Z listu mojego dowiedziałeś się pan dobrodziej, jak bardzo potrzebuję pieniędzy; — kiedy więc szczęśliwy dla mnie zdarzył wypadek, że pana dobrodzieja w domu moim oglądam, dozwól zapytać się, czy mogę z pewnością liczyć na wypłatę w dniu 24 czerwca b. r.?

— Czyliż szwagier pański nie wspominał, że za umowionym wynagrodzeniem przedłużył mi termin wypłaty na rok jeden?

— Nie mówił mi ani słowa a nawet, gdyby i mówił, ja dłużej czekać nie mogę. Niechaj się zresztą panowie pomiędzy sobą rozprawiają; ja trzymam się służącego mi prawa i będę zmuszony....

— Do czego?....

Do przesłania urzędowej obligacyi w ręce komornika.

— A czyliby nie było właściwiej, gdybyś, panie, szwagra swojego zapytał o rzetelność mojego twierdzenia?

— Cóż mnie to obchodzi! ja mam czarne na białem, urzędowy oblig z natychmiastową egzekucją.

— Więc chyba pan chcesz, abym drugi raz procent opłacał i uległ przez to nadzwyczajnemu lichwiarstwu!

— Jako obywatel i szlachcic lichwiarstwem się nie trudnię, a pańskie pociski są zupełnie niewłaściwe.

— Jako obywatel i szlachcic pan się lichwiarstwem nie trudnisz? Czy pan nie jesteś jednego herbu z Łozikiem?....

Na wspomnienie Łozika Węchocki wytrzeszczył na mnie oczy, pobladł i, jękając się, odpowiedział zmieszany:

— Ja nie — nie znam żadnego Łozika.

— Ja znam dwóch Łozików; jeden umiał stare dokumenta naśladować, drugi za też dokumenta zamiast przyrzeczonych stu pięćdziesięciu zapłacił tylko osmdziesiąt oberżniętych dukatów, a krwawe poczubienie się ukończyło ten kłótniwy obrachunek. Wówczas to na własne uszy słyszałem zarzuty, jakie sobie nawzajem czynili. Obadwaj warci kajdan i podobno

że będę zmuszony świadczyć przeciwko tym łotrom.... Ale o t^ęm pot^ęm; obecnie wróćmy do naszego interesu: więc tedy pan przyrzeczeń swego szwagra nie potwierdzasz?....

— O... o... owszem panie dobrodziej! po... potwierdżę i... i poczekam, jak długo łaskawy pan zechcesz.

— Ale tu zachodzi jeszcze inna okoliczność. Jan od dawna pożyczony kapitał i prawne procenta zapłacił a suma, którą pan od Pazurkiewicza nabyłeś, jest lichwą tylko; — czyliby więc pan nie był łaskaw zrobić ze inną innego porachunku i innego układu?...

— O.... o.... owszem.

— Kiedyś pan tak grzeczny, racz mi przeto zwrócić mój urzędowy oblig a przyjąć rewers pana Dobruty, swojego szanownego sąsiada. Że zaś pan Dobruta dłużny mi jest 8,000 złp. z prawnym procentem od lat kilkunastu, dopłacisz mi panie 7,000 złp. i dasz mi zapewnienie na piśmie, że od pana Dobruty *tylko kapitału* upominać się będziesz i to nie pierw^ęj jak po upływie całego roku, albowiem pocziwy Dobruta obecnie nie jest w stanie uiszczenia się.

— Z.... z.... zgoda.

— Nadto mam do pana jeszcze jedną prośbę. Ten waryat, który dzisiaj w oficy nie obok mnie nocował, podstępⁿęm działaniem Łozików

resztę swojego majątku utracił; czylibys nie był łaskaw zahipotekować dla niego do śmierci po złp. 2,000, — a dla jego syna Tadeusza, słu^ęącego wojskowo w Algierze, posłać chociażby tylko 20,000 franków....

— Panie, to za wiele!

— Mówmy otwarcie; zbyt^ecznie korzystałeś z nieszczęścia podupadłej rodziny, kupiłeś Miodówkę więc^ej niż za bezcen, potracając bowiem lichw^e, ledwo że 500 złp. zapłaciłeś za chełmińską włókę, a jednakże jest to 180 włók ziemi pszennej....

— Panie dobrodziej! na rok mokry wszystko wymoknie, na suchy rok wypali....

— A jakżeż chciałbyś, żeby w mokrym roku wypaliło, a w suchym wymokło?

— Nie, ja tego nie mówię, tylko powiadam, że od granicy są piaski, i... i... jak pana dobrodzieja szanuję....

— Nie żądam twojego szacunku, bo ty tylko podług spodziewanych zysków ludzi szacować umiesz. Szacowałeś Henryka dopóty, dopóki z niego bez miary korzystać mogłeś, wówczas to mieniłeś go jaśnie wielmożnym, — a dzisiaj dozwalasz, że na zgnil^ej słomie pod twoim progiem z głodu umiera.

— On sam temu winien, gdyż wytoczył proces o unieważnienie urzędowego ze mną porachunku i przez to utracił prawo do mojej litości; a przecież....

— Milcz, najpodlejszy niegodziwce! — tobież to godzi się wymawiać święty wyraz „litości!“ — Więc podług twojej machiawelskiej zasady litości ma prosić ten, którego do najokropniejszej nędzy przywiodłeś, do nędzy, co go przyprawiła o obłąkanie zmysłów, do nędzy, która jego matkę, żonę i dzieci w zawczesny grób wtrąciła! Bękarcie rodu ludzkiego! lichwiarzu! ty na krwawych łzach nieszczęścia zbudowałeś ołtarz złotego cielca; — uczucia szlachetne nigdy nie powstały w twém sercu, do twoich więc uczuć nie odwołuję się, raczej powiedz, czy chcesz, abym objawieniem twoich zbrodni postawił cię pod pręgierz publicznej wzgardy, czyli też to wszystko, czegom żądał, wypełnisz bezzwłocznie?...

W konwulsyjnym przestachu odpowiedział zbrodniarz:

— Wszystko wypełnię.

Cztery lata upłynęły od owęj chwili. — Henryk, osiwiwały starzec, odzyskał zmysły i błaga Boga o przebaczenie za swoją przeszłość. Węchocki odesłał Tadeuszowi 20,000 franków a dawniejszemu dziedzicowi Miodówki co kwartał z góry najregularniej po 500 złp. wypłaca.

Dobruta dopiero przed rokiem umarł na *plaurę*. Jego synowie jeszcze się sąsiadowi nie uiszcili, gdyż w Chłodnej Wólce przy dziedzicznie jeneralnym nieurodzaju oziminy i jarzyny

ledwo na skarbowe podatki wystarczą i, gdyby nie naddzierżawca, pan Finezy, który im od czasu do czasu na hipotekę pożyczą, spadkobiercy Jana w Oleju byłiby często w najprzykrzejszym kłopotcie. Od kilku tygodni przyjechał pan Kalikst do Warszawy i stanął w Rzymskim hotelu. — Wczoraj płacąc u Francuza 16 złp. za dwa *dubelty*, beczelnie na ciężkie czasy narzekał.... *Sic! Sic!*

Kiedy we wspomnianym miejscu
 nie ma żadnego, to należy do
 niego. W tym celu należy
 mieć w pamięci, że w tym
 miejscu nie ma żadnego, to
 należy do niego. W tym celu
 należy mieć w pamięci, że w
 tym miejscu nie ma żadnego,

SALON LITERACKI.

SALON LITERACKI.

W Chinach na 3,421 lat przed narodzeniem Chr, w ówczesném mieście stołeczném Kinikoj nadobna i piękna przyjaciółka pułkownika gwardyi państwa niebieskiego, jasnobrewa Mou-Mik-Fou-Pfy, gdy pułkownik wyjechał o mil 200 na wojnę przeciw rzeczy-pospolitėj Rarytów, — otóż wtenczas owa Fou-Pfy była od stworzenia świata najpierwszą, która w mieście Kinikoj literackie otworzyła salony i wezwała na nie młodzież co piękniejszą a dla zamaskowania swych rzeczywistych zamiarów zaprosiła także kilku sędziwych splenników naukowych i zgrzybiałych filozofów. Historia literackich salonów panny Mou-Mik-Fou-Pfy, przez spółczesnego kronikarza w 12 tomach in quarto spisana wierszem miarowym, zaginęła podczas potopu; Noe tylko posiadał z trzeciego, z ósmego i z dziewiątego tomu wypisy ciekawszych zdarzeń i ten to rękopism Noego z objaśnieniami, poczynionemi

przez Sanchoniatona, historyka fenicyjskiego, jest najpierwszém źródłem, z którego o pierwotnym celu salonów literackich dowiedzieć się można.

Żona Sezostrysa, króla egipskiego, która, jak wiadomo, była bardzo głęboko uczoną kobietą, następnie Masynisa, król Numidy i syn jego Jugurta, później Hannibal podczas wojen punickich, w chwilach od zatrudnień wolnych, wiele i szeroko pisali przeciw autentyczności rękopisów Noego; — wszakżeż wszelkie w téj mierze wątpliwości Ludwik Łysy, władca Francyi, Henryk Ptasznik, cesarz niemiecki i astronom Herszel krytycznemi rozbiorami najzupełniej usunęli i błędem jest nie do darowania, dla czego księżna d'Abrantes, wdowa po czcigodnym Junot'cie, pisząc o salonach, ani razu o pannie Mou-Mik-Fou-Pfy nie wspomina i początek salonów literackich wyłącznie do samej Francyi odnosi.

U nas w Polsce żadnej dotąd nie posiadamy historyi rodowych salonów literackich, bo téż i polskie salony literackie bardzo niedawno istnieją; — a chociaż od kilku lat wielce się zagęściły i dla ludzi *quasi* naukowych jest dzisiaj z łaski Boga gdzie popróżnować, to jednakże nie czas jeszcze po temu, abyśmy już mieli w tym przedmiocie pisać osobne historyczne dzieło. Niemniej przeto rozumiem, że mały odłamek z dziś-czesnych dziejów naszych lite-

rackich salonów łaskawych znajdzie czytelników; — a więc zaczynam:

Roku 1844 Kamilla z Gomółkowskich Cielątkowska i mąż jej, Cielątkowski Wojciech, dla lekcyi tańca swojej najstarszej córki postanowili w gubernialném mieście zimę przepędzić. Jakoż już w początkach miesiąca października Wojciech Cielątkowski całe pierwsze piętro narożnej w rynku kamienicy półrocznie wynajął, swoim kosztem odświeżył i uporządkował. W początkach miesiąca listopada przywieziono ze wsi meble i fortepian, kuchenne naczynia i sprzęty, w 8 dni później sprowadzono znaczny zapas siana i obroków, kilkadziesiąt sztuk rozmaitego drobiu i obfitą spiżarnią legumin; 16 listopada przybył kredencarz, dziewczka i trzy dojne krowy; nazajutrz zaś, w samo południe, przyjechali państwo Cielątkowscy nową landarą z walizami, z kuframi i z ogromnym tłumokiem pościeli, osobną fornalką tuż za landarą wiezionym, na którym to tłumoku pokojówka Zuzia, siedząc z rozpiętym parasolikiem w ręku, o dobrym tonie swęj pani uprzedzające dawała świadectwo. Zanim się pani Cielątkowska na pierwszém piętrze narożnej kamienicy usadowi, zanim zawyrokuje, że dla jegomości potrzeba na dole przynająć osobny pokój, zanim rozpakują rzeczy i jaki taki ład zrobią, powiem cokolwiek o dawniejszym żywocie państwa Cielątkowskich i tym razem zacznę od pana Cielątkowskiego.

Wojciech Cielątkowski, syn Walentego i Małgorzaty z Prosiątkiewiczów Cielątkowskich, urodził się nad rzeką Prosną w dzierżawnej wiosce, Wielkie Mordy. Do 14 roku życia swojego nie uczył się ani czytać ani pisać, bo był jednakiem i matka kochała go pasyami, a ojciec, pan Walenty, kochał znów żonę pasyami i nie chciał jęć się w niczém sprzeciwiać; nadto zatrudniony z dnia na dzień gospodarstwem i polowaniem, nie miał czasu myśleć o początkowém wychowaniu syna i spuszczał się w tój mierze na żonę swoją z bezwarunkową ufnością. Dopiero gdy mu ksiądz proboszcz pewnego razu mocne uczynił reflexye, że Woś nie był jeszcze u spowiedzi a to z przyczyny, iż katechizmu wcale nie umie; — gdy wspominał, że zgrozą jest, aby czternastoletni chłopak i jednéj nie znał litery, wówczas to pan Walenty spostrzegł, że się w ojcowskim obowiązku nieco opóźnił i w kilka dni potém przywiózł z Kalisza jakiegoś pana Mazgajskiego na nauczyciela dla Wosia. Pan Mazgajski, niegdyś podoficer od ułanów, później przez ożenienie się z wdową kupcową posiadacz korzennego handlu, później podleśny w dobrach rządowych, później prywatny sekretarz przy pisarzu Żupy Solnéj; w końcu asystent przy odbieraniu kopytkowego w Kaliszu, — jakto mówią, człowiek, co nie z jednego pieca chleb jadał, pojał odrazu, że w Wielkich Mordach najwłaściwszą postąpi drogą, gdy, stó-

sując się do woli pani Cielątkowskiej, Wosia do nauk naglić nie będzie.

Przez cztery lata pobytu pana Mazgajskiego Woś nauczył się czytać, pisać i rachować o tyle, że w mieście Warcie za usilném staraniem ojca do klasy pierwszej szkoły u Bernardynów przyjętym został.

Jak wielkie postępy w naukach Wosio w mieście Warcie uczynił, oznaczyć nie umiem; to tylko jest mi wiadomém, że w sześć tygodni po rozpoczęciu nauk, jakoś przed Zielonemi Świątkami, piechotą do rodzicielskiego domu drapnął i już do szkół nigdy nie powrócił; albowiem, jak się wyżej powiedziało, matka kochała jednaka pasyami, ojciec zaś kochał matkę pasyami i w niczém jęć się sprzeciwiać nie chciał; w tym razie tém mniej, że na żądanie rozpaczającej żony naocznie się przekonał, iż miękka część jednaka Wosia nielitościwie sincami opatrzoną była, — i to tylko podobno za to, że na lekcyi arytmetyki, gdy profesor na tablicy pisał przykłady mnożenia (multyplikacyi), Wosio zdrzymnął się troszeczkę. Dziwną to jest rzeczą, że często wypadki, na pozór drobne, wielki na całe życie człowieka wpływ wywierają!... Wosio w szkołach za niechęć do mnożenia ćwiczony, mnożenie w pamięci zachował i, kiedy we dwa lata po ukończeniu nauk w mieście Warcie, dzierżawne rządy Małych Mordów przez ojca oddane sobie miał, tak

dobrze dochody mnożył, że przed dójściem do pełnoletności już 28,000 złp. uzbierał. I mówi tu o nauce w rolnictwie potrzebnej!

Dziedziczką Wielkich i małych Mordów była pani Gomółkowska, której ojciec był dawnemi czasy dygnitarzem, żyła kiedyś na wielkim świecie to jest: w Warszawie i po śmierci męża przez lat kilkanaście ani razu w dobrach swych nie postąpiła; ale gdy dzierżawca, pan Wojciech Cielątkowski, nowych przypożyczek odmówił, gdy dochody z dóbr zaledwie na opłatę procentów starczyły, pani Gomółkowska z żalem opuściła stolicę i do wielkich Mordów na mieszkanie zjechała, mając w dzierżawnym kontrakcie Cielątkowskiego wymówiony dla siebie pałac, ogród angielski, 50 korcy twardego zboża i inne jeszcze pomniejsze dodatki i dogodności.

Z początku pani Gomółkowska i jej córka Kamilla widywały się tylko z samym Cielątkowskim przy czynieniu pieniężnych obrachunków; lecz gdy przysłał wypowiedzenie częściowo przypożyczonej bezpośrednio, częściowo od żydów nabytej sumy 192,000 złp. — gdy wywłaszczeniem dóbr zagroził, pani Gomółkowska za rzecz rozsądku uznała odwiedzić panią Cielątkowską i na drodze niewieści dyplomacyi względności uległość Cielątkowskich dla swego interesu pozyskać.

Nie wątpię, że nie jedna z dziedziczek zgorzyla się postępkami pani Cielątkowskiej, i ja sam, co tę ramotkę piszę, wyznaję, że się zgor-

szylem. Lecz zważywszy, że szacunek Wielkich Mordów 400,000 zł. nie przechodził, a dług Towarz. Kredyt. 130,000 zł. — pożyczka skarbową 90,000, — sumy Cielątkowskich prócz wielu drobniaków 192,000 zł. wynoszące, w razie przymuszonej sprzedaży Mordów, stworzyłyby wyraźny *minus* dla dziedziczki, — zważając i zważywszy tę przykrą okoliczność, należy przebaczyć pani Gomółkowskiej, że się do grzeczności względem dzierżawców Cielątkowskich zniżyła. Boże! ileż to ofiar ze znakomitych uczuć wielkiego świata damy dla interesu nie czynią. Trudno płynąć pod wodę. Pani Gomółkowska znała świat wielki, znała słabości ludzkie, znała swoje interesa, była matką ukochanej córki, szło o byt, szło o pieniądze; — niech tam zresztą kto, jak chce, sądzi, pani Gomółkowskiej potrzeba było pozyskać przyjaźń Cielątkowskich. Otóż więc z tej przyczyny 17 września r. 18... w niedzielę po południu z córką Kamillą odwiedziła panią Cielątkowską!...

Aż mi pióro drży w ręku do opisanja tej pierwszej wizyty; o! ta pierwsza wizyta była mistrzowską, zawierała w sobie szczegóły cudowne; cóż kiedy nie podobna wszystkiego na raz wypisać; nadto w gubernialnym mieście w narożnej kamienicy jestem bardzo potrzebny, a więc rad nierad muszę pominąć opis wizyty pierwszej, muszę pominąć cudowną rewizytę pani Walentowej Cielątkowskiej, muszę pominąć pier-

wsze zapoznanie się pana Wojciecha z panną Kamillą, ach! wiele, wiele scen wybornych pomijam i krótko a węzłowato opowiem, że pan Wojciech, po dwuletniej milczącej konkurencji do pięknej panny dziedziczki wiedząc, że panna Kamilla lubi zupe z dyni, posłał ję w podarunku ogromnej wielkości dynię, na której własną ręką „kocham cię, pani!...” scyzorykiem wyrznął, — a w trzy miesiące później z panną dziedziczką przed ślubnym stanął ołtarzem.

Interes pieniężny i dynia z napisem „kocham cię, pani!” stworzyły związek małżeński Wojciecha Cielątkowskiego z Kamillą Gomółkowską.

W 16 lat po ślubie widzieliśmy ich wjeżdżających do miasta gubernialnego... widzieliśmy ich wysiadających do narożnej kamienicy; lecz prócz posłuchu, że to są ludzie bardzo bogaci, że przyjechali dla lekcji tańca swęj starszej córki, nie wiadano nic więcej. Dopiero nazajutrz wieczorem pan Zenon, asesor trybunału cywilnego pierwszej instancji, opowiadał u państwa N..., że pani Cielątkowska upoważniła go do wprowadzenia w ję dom, o ile można, najwięcej młodzieży, albowiem zamierzyła otworzyć salony literackie!..

— Proszę cię, duszko, zapytała po cichu swojego małżonka pani regentowa Kleksowicz, — cóżto istotnie znaczą te salony literackie?

— Moje kochanie, pocichu odrzekł pan regent Kleksowicz, — jestto wykład *pewnych nauk*

literackich w domach przyjacielskich, zwykle w stolicy praktykowany, mianowicie w Paryżu, gdzie już taka moda, że kobiety uczone dają takie wieczory uczone, i to nazywają salony literackie.

— Więc pani Cielątkowska jest tak uczona?

— A zapewne, kiedy otwiera salony literackie, głupią być nie może.

— Proszę pana sędziego, zapytała swojego sąsiada pani Krętalska, żona adwokata, czy tylko sami mężczyźni bywają na takich salonach literackich?...

— Nie umiem tego pani dobrodziejce objaśnić, bo ja nigdy nie byłem na żadnym literackim salonie.

Pan Zenon. Zwykle sami mężczyźni bywają.

Pani Kleksowicz. To nie dobrze, że sami mężczyźni.

Pan Zenon. Dla czego, pani dobrodziejko, nie dobrze?

Pani Kleksowicz. Widzisz pan dla tego, że kiedy kobieta uczy, powinna uczyć także i kobiety a nie samych mężczyzn.

Pan Zenon. Ale to nie jest żadna prelekcyja, to jest tylko konwersacya o rzeczachuczonych.

Pan Kleksowicz. Moje kochanie, konwersacya nie jest prelekcyją.

Pani Kleksowicz. No, to ja wiem, że nie dają żadnych lekcji, ale zawsze pani Cielątko-

wska będzie tym panom rozповідаła o uczonych rzeczach.

Robaczyński doktor. A bodaj państwa z waszemi salonami! Zabiłem fortę; dla czego pani naczelnikowa nie zadała pik albo karo?

Pani Naczelnikowa. Zasłuchałam się o tych salonach literackich i zapomniałam, że radzca wygrał renons.

Robaczyński doktor. A propos, czy to ten Cielątkowski, który kupił Rogały od pana hrabiego?..

Zenon. Ten sam.

Robaczyński. Chyba to żarty, żeby on miał otwierać salony literackie.... ledwie że się podpisać umie.

Naczelnikowa. Do otwierania nie potrzeba nauki; nasz Andrzej wcale do szkół nie chodził a wybornie otwiera podwoje.

Pan Zenon. Dowcipnie lecz złośliwie; a trzeba pani dobrodziejce wiedzieć, że i pan naczelnik zaproszonym będzie.

Naczelnikowa. Wątpię, aby mój mąż miał czas do tych literackich salonów; wczoraj wyjechał do Warszawy, jak powróci, zacznie się spis wojskowy.

Pani Kleksowicz. I mój mąż nie będzie, bo pan Cielątkowski, kupując Rogały, robił transakcyą przed Kminkowskim, chociaż mój mąż mówił nawet panu hrabiemu....

Pan Kleksowicz. Ale moja duszko, wolno każdemu....

Robaczyński. Cztery honory i trzy lewy siedm, a ośm 15, 5 reszty, partie double, robr z dziewiąciu. Powiedz mi, panie asesorze, czy tam na tych waszych literackich salonach będą grali w wiska?....

Pan Zenon. Osoby nie naukowe będą zapewne i w wiska grywać....

Robaczyński. A któż to ułoży listę naukowych i nienaukowych?

Pani Kleksowicz. Zdaje się, że to już należeć będzie do pana dyrektora z gimnazyum.

Te i tym podobne rozmowy, których nie podobna wszystkich powtórzyć, odnawiały się codziennie w każdym niemal zebraniu; nadto mało-miejskie panie rozciągnęły baczność na wszystko, co w domu Cielątkowskich zaszło lub zająć miało; wiedzano, jakie są firynki, jakie meble; ile zapłacono od wywoskowania posadzki; co jedzą, co piją, co mówią, nawet i co myślą; kto bywa, kto bywać będzie; wiedzano, że pani Cielątkowska rządzi i błądzi, a pan Cielątkowski na wszystko się zgadza; wiedzano, że pan Zenon, asesor trybunału 1ej instancyi, jest wielkim marszałkiem dworu państwa Cielątkowskich, że już wielu z młodzieży wprowadził, że wielu jeszcze wprowadzić ma; wiedzano, że panna Barbara Cielątkowska lekcyę tańca już rozpoczęła, że bardzo wiele francuzkich czyta romansów,

że mówi wiele o Tajemnicach Paryża, że w absolutnych pojęciach ma wielką przewagę nad rodzicami, że pali hiszpańskie sigaretta, że robi wiersze, że filozofią umie na pamięć; — a co jeszcze główniejsza, wiedzano, że rodzice dla niej przeznaczili 200,000 złp. na posag i że ta suma w listach zastawnych w osobnej spoczywa szkatułce. Pogłoska o baranich skórach rzuciła nieugaszony pożar w serca miejscowej i zamiejscowej młodzieży a lubo każdy wypierał się tak podrzędnego uczucia, jednakże po prawdzie nie było ani jednego z kandydatów małżeńskiego stanu, któryby o owej szkatułce nie marzył.

Już siedemnastu kawalerów zgłosiło się o zaszczyt bywania na literackich salonach, więc tedy pani Cielątkowska, nie zwłócząc dłużej, dzień czwartego grudnia, dzień imienin swjej córki, na pierwszy literacki wieczór przeznaczając, trzy uosobnione francuzkie romanse płci żeńskiej i trzydziestu mężczyzn zaprosiła. Od samego rana trwały przygotowania w narożnej kamienicy. Pan Cielątkowski, z kluczykami od spiżarni co chwila przez kucharza wzywany, wydawał mąkę, masło, cukier, korzenie, rozporządzał przyprawę do sztufady, radził nad sosem do ryb, sprzeczał się o leguminy, wino garncowe w butelki przelewał, srebra i bieliznę stołową lokajom doręczył, wschody oczyścić, dziedziniec zamieść rozkazał, drzewo do pieców

wydzielił, trociczki przygotował i przy tak ważnych a niezliczonych zatrudnieniach upłynął dzień cały i dopiero zmierzchem posłał po balbierza, — umył się, a chociaż nie był egoistą, począł jednakże rozmyślać, czy w czarnym czy w granatowym fraku wystąpić. Pani Cielątkowska z córką takż od samego rana były zajęte; do południa trzy razy zmieniały porządek rozrzuconych książek na głównym stoliku i pięć razy ustawiały krzesła; po południu każda w osobnym pokoju ostateczne przed zwierciadłem czyniła usiłowania. Matka siedm zmieniła stroików na głowę; Basia doprowadziła rysy swjej twarzy do zupełnego posłuszeństwa: zamyślenie, natchnienie, roztargnienie, łagodność, chmurka na czole, gwałtowne uczucia, wszystko odcieniowało się przewybornie; — i o godzinie 6 pani Cielątkowska w cytrynowej sukni jedwabnej, w czarnym blondynowym czepeczku z ponsowemi różami; Basia w białej organtynowej sukience z aksamitną szarfą koloru niebieskiego, z rozkwitającą różą przy lewym boku, z jednym bławatkiem w splotach czarnego włosa; pan Cielątkowski w granatowym fraku, w pantalionach granatowych ze strzemiączkami, zgromadzili się w głównym salonie.

— Cóż to jegomość wziął za kamizelkę?

— Że téż to papa nigdy się nie ubierze stósownie!

— Dla czego nie masz rękawiczek?

— Papo! na literacki wieczór mężczyźnie ani podobna ubierać się inaczej jak czarno.

— Ona ma rację, weź mi zaraz frak czarny.

— Ach Boże! że też to papa zawsze zrobi jaki nonsens.

Papa, słowa nie odrzekłszy, wrócił się na dół do swojego pokoju i nie zadługo przyszedł w rękawiczkach i w czarnym fraku.

— Ach papo! czarny frak i granatowe pantaliony, quelle idée! — zawołała z oburzeniem córka a matka dodała z gniewem: — Ja nie wiem, kiedy ty już rozum mieć będziesz?

Jegomość więc, znów nie rzekłszy ani słowa, powtórnie udał się do swego pokoju i o wpół do ósmej wrócił jak kruk czarno ubrany.

W tę chwilę wbiegł znany nam pan Zenon, asesor trybunału 1ej instancyi, wystrojony à quatre épingles i najgwałtowniej piżmem woniejący.

Bon soir, Madame! bon soir, Mademoiselle la comtesse! dobry wieczór, panie Cielątkowski! (*obejrzawszy się po pokoju*). Panie są dobrze, bardzo dobrze! wszystko dobrze, lecz fortepian należy nieco posunąć naprzód, — ustawianie instrumentu przy ścianach, pardonnez Mesdames, ale to trąci wiejskością. O tak dobrze!... Książki! à merveille, Kefaliński! George Sand, Eugeniusz Sue, Wiszniewski, Przegląd warszawski, ah voila! Przegląd Naukowy, Bibliote-

ka warszawska, „Mieszaniny“ — qu'est-ce-que c'est?... „Nie ma hemoroid“ fi donc! jak można pokazywać tak obrzydliwe dzieło.

— Widzi mama, że ja zaraz mówiłam....

— Księgarz mnie zapewniał, że to do najnowszych utworów należy; że zaś będzie pan doktor Robaczyński, chciałam mu więc zrobić surpryzę.

Pan Zenon. Nie, nie! cela ne va pas.

— Mężu, zanieś te książkę do drugiego pokoju.

Jegomość, wzięwszy podaną sobie książeczkę, poniósł ją do przyległego pokoju; pan Zenon tymczasem wyjął z kieszeni przyniesionych kilka dzieł nowszych, jako to: Córke Artysty, Poczye Orzeszki, Twory Minasowicza i Filozofią ekonomii materyalnej, któremi zbogacił rozłożony na stoliku księgozbiór.

— Mille graces! z wdzięcznością wymówiła pani Cielątkowska a panna Basia rzuciła dziękczynne spojrzenie, na które asesor odpowiedział szczerym drobną rączki pocałunkiem.

— Należy jeszcze uczynić, odezwał się asesor, pewien literacki nieład pomiędzy temi książkami jako dowód, że są w użyciu. Ale co widzę! karty nie porozcinane; — ach dla Boga! zdradziłyby się panie najokropniej.

Noży! noży! kilku noży!

— Janie! Grzegorzu! mężu! noży! dajcie noży!

— Papo! noży! noży!

Jan, Grzegorz i papa Cielątkowski przyskoczyli na rozkaz z koszykiem przygotowanych do wieczery noży i wszyscy poczęli z największym pospiechem rozcinać karty książek. Pannie i asesor odbywali tę operacyą dość zgrabnie; ale jegomość i lokaje szarpali nielitościwie i z pod ich rąk wychodziły książki z frandzlami wcale nieestetycznymi. Jeszcze téj pospiesznej operacyi ani w połowie robotnicy nie ukończyli, gdy usłyszano w sieni przybywających gości. Naturalnie operacya ustała, służba pobiegła do przedpokojów a panie i asesor rozpoczęli ceremonią przyjęcia. Z każdą chwilą przybywały coraz to nowe osoby, wreszcie o godzinie 9ej znajdowali się już wszyscy zaproszeni; było mężczyzn 30, białogłów trzy prócz gospodyni domu i jej córki, panny Barbary.

Przy pierwszym daniu herbaty panna Cielątkowska głośną zawiązała rozmowę z panem Zenonem o obecném stanowisku filozofii niemieckiej; pani Cielątkowska zaś przy głównym stoliku chwaliła powieści pana Laskowskiego i, opowiadając treść Hiszpanki w Polsce, dziwiła się nad twórczością autora. Mniej więc wszyscy obecni zgadzali się ze zdaniem pani Cielątkowskiej; natomiast rozprawa o filozofii stawała się coraz żarliwszą, albowiem pan Trzaski, dóbr ziemskich właściciel, kawaler świe-

żo przybyły z Monachium, wbrew twierdzeniu panny Cielątkowskiej utrzymywał, że filozofia niemiecka musi upaść pod objawem naszych pojęć słowiańskich, rodowych i że cała nadzieja zbawienia rodu ludzkiego jest głównie w przyznaniu zasad autora Myślini.

— Jeżeli pani sądzi, dowiódł ostatecznie pan Trzaski, że passynki*) z podmiotu Hegla są krępakiem prawdy absolutnej, jesteś pani w największym błędzie, albowiem wynik jego pojęć jest tylko mżykiem socyalnych warunków materyi a nigdy oczyszczonej wiedzy ducha a tém mniej masłokiem idei Boga, bezwzględnie na awożność zasadniczej prawdoświeci trzeciego prawdoblamu, to jest żywostanu w spiętości poznania.

Na takie prawdziwe *dictum acerbum* panna Barbara zamilkła jak truśka; ale pan Zenon, będący w oczywistej zмовie z panem Trzaskim, przygotowany ku temu, wybornie udając, że zrozumiał dowodzenie pana Trzaskiego, odpowiedział istotnie z filozoficzną powagą:

Realność zasady, przez pana objawionej, jest również moją jaźnią, o ile transcendentalność

*) Passynki i wiele innych wyrazów, które czytelnicy mój ramotki w filozoficznej rozmowie pana Trzaski z panem Zenonem niezrozumiałemi znajdują, są istotnie używane w dziele p. t. Myślini. Za niewłaściwe zaś używanie i za bezmyślne nagromadzenie tychże wyrazów niechaj panowie Trzaski i Zenon odpowiedzą ja tylko to dosłownie powtarzam, co na moje uszy słyszałem.

nie jest zawornikiem przedświata ani calcem rozczłonu wsobistości, bo w takim razie byłbym zmuszony prawdosłęb panny Barbary uważać za przyczynowość spółrzednego dwójgańca.

— Sacz myśli pana asesora jest antymonią do moich passynków a trafak tylko mógł nas zjednoczyć w siestranach bezwzględnej jedni, — dla tego wierzeje wykładników pańskich nie są bynajmniej kwiatowym rozwojem sobistości.

— Za pozwoleniem, czyliż pan dychtomią i trychtomią w różnojedni chcesz supernaturalizować bez względu na stan przeświadczenia?...

Bynajmniej; ja uważam ostoję empiryzmu jako achromatyczność prawdozbiorów zupełnie odrębnej wiedzo-świeci*), i tutaj właśnie jest innobyty i rozłoga zlewu jedno-przydrugości ogólnego bożostanu; ztąd też spiętość *in sem-piterno**)* biorąc korzącą rotundę wszechistnienia za świat trzeci, czwarty i piąty, musimy nie a posteriori ale a totali przyznać jako przyjęcie do rzeczywistego przeświadczenia *in sem-piterno!*

— Ale panowie! zawołał były major Ząbkowski, — któż słyszał, aby o sempiternie mówiono przy damach?.... Panie Trzaski! znudzisz i nikogo nie nauczysz.

— Vous avez raison, majorze! ozwała się pani Cielątkowska, trudno nam rozumieć, o co się panowie sprzecząją. Jużto moja Basia zawsze musi tę filozofią zaczepić. To dobrze, kiedy wszyscy rozumieją, ale nie pomiędzy tylu osobami.

— Pani! odezwał się Kaczykowski, 18 letni młodzieniec, filozofia jest głównym zadaniem naszego stulecia i należy uwielbiać każdą sposobność, w której życzliwa chwila przypuszcza nas w dziedzinę podmiotowych badań materii ducha na polu wiedzowej widzy umu ludzkiego.

Pan Zenon. Niewątpliwie.

Pani Cielątkowska. Nie przeczę; ale panowie pozwolą, że i poezya ma swoje wielkie prawa. Pan Bzik przyobiecał wczoraj, że dzisiaj raczy nam zaimprovizować...

Wszyscy spojrzeli się na pana Bzika, który, nie czekając powtórzenia prośby, wystąpił na środek, wzniosł do góry białoglansowaną rękawiczkę, oczy kołem postawił, ciężko odetchnął i następny wiersz z wielkim uczuciem wygłosił:

Noey cień	Krajem dum
Okrył dzień	Wtenczas rządzi;
I ponury	Serce błądzi,
Z poza chmury	Jak miły ten byt!
Księżyc spuszcza sen.	O! w tę porę
Blade światło	Serce gore,
Bierzcie za tło	Lecąc w natchnień szczyt.
Malowniczych scen!	
Myśli tłum	

*) Czy tylko nie wiedzo-śmiecei? ...

**) Sic!

Dla mnie noc
Ma tę moc;
Pod jój cieniem
Ja promieniem

Barwię uczuć nie,
I swobodnie
Mogę zgodnie
Szczęścia wianki wić!...

Bzik skończył a powszechny poklask uwieńczył gieniusz wieszczą, który zaimprovizował tę cudowną, jak sam nazwał, „Iskrę fantastyczną.“ Pani Językiewicz tylko, autorka kilku kompilacji francuzkich romansów, uczyniła uwagę, że coś podobnego czytała w rękopisach przygotowanych do Lubelskiego Fijołka.

Na taki zarzut pan Bzik dał słowo honoru, że pani Językiewicz myli się najwyraźniej i dla zawstydzenia pamięci swój złośliwej przeciwniczki powtórzył całą Iskrę fantastyczną, a na prośby gospodyni domu też Iskrę fantastyczną wpisał dosłownie w sztambuch panny Barbary z umieszczeniem swojego nazwiska i imienia. Przy tej okoliczności wszczęła się żywa dyskusja, czy należy pierwój nazwisko czy imię podpisywać? Wiele głosów było za pierwszeństwem nazwiska, wiele przeciw; zdania się podzieliły niemal na dwie równe części, szczęściem że był obecnym sławny historyk, który przez półgodziny wywodził i dowiódł, że historia dla imienia pierwszeństwo naznacza, albowiem bracia Romulus i Remus zawsze pierwój swoje imiona podpisywali; twierdzenie więc strony przeciwniej, że narodzenie poprzedza chrzest, jako zmysłowa przyczyna, odrzuconém zostało. Po tej historyczno-

religijno-filozoficznój dyspacie pani Helena, młoda lecz smętna rozwódka, zapytała pana Edwarda Bzika, czyliby nie był łaskaw jeszcze jedną Iskrę zaimprovizować?...

— Pani, odpowiedział Edward Bzik, natura tylko dla pani była szczodłą, gromadząc w jój oczach iskier tysiące... ale jeżeli pani pozwoli, zaimprovizuję „Czarną Elegią.“

— Prosimy! prosimy! zawołały panie, a ktoś dodał z boku:

— A ha! to ta cudowna elegia, którą pan Edward improwizował u naczelnikowój; słowo honoru, że nieporównana!

Bzik powtórnie stanął na środku pokoju, powtórnie wzniósł do góry białoglansowaną rękawiczkę, powtórnie zatoczył oczami w punkt nieruchomy i stłumionym a rozmiarowo powolnym głosem w dzwonek natchnienia uderzył:

„I było smutno! całe przestworze
Lśniło jak w nocy Adryatów morze.

.

Lecz cóż to za ton?...

Jakby w kościele wieczorny dzwon
Rozbudza cmentarza ciszę,
Z jakiejże piersi wypłynął on,
Ze w powietrzu drży i dysze?...

O! ton to! ton! nie z ziemi tej.

Tam na górach, tam na chmurach
 Jutrzenkowy promień zwiędł,
 I z piorunów i z galunów
 Jego całość, bracie, złęj!
 O! ton to! ton! nie z ziemi tój.

Marzenia wstęgą opasany jasną,
 Ton błyszczy, gwiazdy przed nim gasną —
 Ton dźwięczy, wiatry przed nim jęką
 I w cichłej pokorze u stóp jego klęką.

I znowu cisza; lecz całe przestworze,
 Jak ług majowy w młodej wiosny porze
 Pełnej powabu, pełnej niewinności;
 Dźwięcz mi o dźwięcz, tyś tonem miłości...

„I dźwięczy on	I coraz dalej
Ów miły ton;	Na morzach fali,
Mgli się i pali	Aż i na ton
Dalój i dalój.	Nie przyjdzie skon.“

Czarna Elegia podobała się nadzwyczajnie; zrobiła pomiędzy paniami wrażenie, wrażenie aż do łez spółczucia; panna Barbara i pani Helena płakały głośno. Tylko znów pani Językiewicz odezwała się z zarzutem, że należało w takiej elegii bezwarunkowo we wszystkich wierszach porobić zakończenia męzkie, jako najsilniej malujące głębszą uczuciowość tyle wzniosłego przedmiotu. Zaniosło się na burzę rozpraw o przeznaczeniu poezji, o posłannictwie poetów; a że gadali niedorzeczności, posunione do siódmej potęgi ludzkiego głupstwa, przyjąłem zaproszenie

do wiska. Roznoszono tymczasem na tacach spore kieliszki wina i tort wiedeński. Pan Cielątkowski chodził z kolei do każdego z gości i prosił, aby państwo byli łaskawi pić i jeść, a gdy i do dr. Robaczyńskiego w wiskowym pokoju prośbę swoją objawił, konsyliarz oświadczył, że nie tylko chętnie przyjmuje kieliszek ale nadto wnosi zdrowie zacnego gospodarstwa, które swém przybyciem do miasta gubernialnego zdaje się zapowiadać jutrzenkę nauk i oświaty.

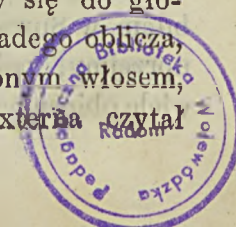
Pan Cielątkowski. Już to w tej mierze mojej żonie i mojej córce należy się podziękowanie.

Dr. Robaczyński. Skromność to tylko pana dobrodzieja jest powodem, że nie przyjmujesz wyrazów powszechnej wdzięczności; nie prawdaż, panie naczelniku?...

Naczelnik. Prawda! prawda!

Zenon (wbiegając z głównego salonu). — Pano-
 wie! ach dla Boga! jak można obrzydliwym wistem znieważać pierwszy literacki wieczór!.. proszę, proszę do salonu! Pan Gładecki będzie czytał swoją wielką pieśń „O Trzech Archaniołach“ — cudowny, Boski utwór z dziedziny prawdziwej poezji.

Radzi nie radzi złożyliśmy dopiero co przez regenta rozdane karty i udaliśmy się do głównego salonu, gdzie młodzieniec bladego oblicza, nizki, wychudły, z krótko strzyżonym włosom, niedbale ubrany, z pomiętego sexterna czytał



owę przez pana Zenona zapowiedzianą nam pieśń: O trzech Archaniołach. Nie było wprawdzie ani cudowny ani Boski utwór, ale był wiersz, odznaczający się oryginalną formą. Niektóre ustępy były prawdziwie poetyckie, wszystkie udowodniały siłę czucia i duszę cnotliwej tęsknoty; przecież główna myśl zupełnego odwiedzenia ludzi od spraw ziemskich, wyłącznie modlitwę wskazująca, o ile była niezrozumieniem człowieka, o tyle objawiała wymuszoną jaźń autora, usiłującego sprawić gwałtowny efekt i wzbudzić w słuchaczach nibyto jakąś pokutę za grzechy.

— Któż jest ten młodzieniec, zapytałem doktora Robaczyńskiego, co tak bardzo ma wiele wrodzonego talentu a tak dziwny nadał kierunek swoim pięknym zdolnościom?

— Panie dobrodzieju! odrzekł konsyliarz, popijając wina, jestto siostrzeniec pani naczelnikowej naszego powiatu, od dwóch tygodni tymczasowo pełniący obowiązki rachmistrza powiatowego. Przed rokiem pracował w dyrekcji tabacznij w Warszawie, przed dwoma laty był pomocnikiem przy geometrze w Suwałkach a przed trzema dopiero laty ukończył szkolne nauki w Sandomierzu, gdzie ojciec jego jako emeryt miał podówczas stałe zamieszkanie. Pierwszą znajomość z młodym Gładeckim zrobiłem w Suwałkach. Był to chłopiec skromny, uprzejmy, pełen chęci kształcenia się i bardzo wiele obiecujący. Ta pieśń o trzech Archaniołach,

którą pan dobrodziej słyszałeś, jest wierném zwierciadłem jego dzisiejszego usposobienia umysłowego. Pietyzm czy też chęć błyszczenia pietyzmem powiodła go na bezdroża myśli i dzisiaj należy do zagorzałych marzycieli religijnych a żywoty świętych pańskich i jasności niebios wiją się po jego mózgu w chorobliwych widzeniach. Naprzykład przedwczoraj opowiadał mi w wielkim sekrecie, że od dwóch miesięcy codziennie w chwili wschodu słońca objawia mu się sty Ignacy Lojola, że z nim rozmawia, że go wzywa do wystąpienia przeciw autorowi Dawnej Polski, że obiecuje zaprowadzić go na promieniu łaski Boskiej do bezwzględnej doskonałości, że mu przyrzeka uczynić go apostołem odrodzonej ludzkości i t. d. i t. d. Radziłem mu, aby przystawił synapizmy za uszami, lecz nie tylko nie przyjął lekarstwa ale jeszcze nazwał mnie bluźniercą, panteistą, wrogiem odrodzenia, wcielonym szatanem i, pieniąc się ze złości czy zawstydzenia, pobiegł do swych przyjaciół czernić mię w sposób najgwałtowniejszy. Nie gniewam się na niego, albowiem czyni to skutkiem choroby, i pewny jestem, że, gdyby sobie dozwolił upuścić 15 uncji krwi, ustałoby obłąkanie i byłby z niego chłopiec jak dawniej, miły i kochany.

— Powiedz mi, konsyliarzu, czy on istotnie do tego stopnia jest chory, że wierzy w rzeczywistość swoich marzeń, czy tylko jest tyle chory, że udaje?

— Z pewnością tylko udaje.

— Coż u licha za stan choroby, aby udawać głupiego!

— Pochodzi to w części z istotnej słabości nerwów, a w większej części z mody, która się nowocześnie z Paryża udzieliła zawsze chętniej do naśladowania Warszawie; i w Warszawie to właśnie pan Gładecki zachwyił tój szarlataneryi, którą się na prowincyi popisywać chce.

— Wielka szkoda, że chłopiec z tak pięknymi zdolnościami dał się obłąkać. I któż w Warszawie wpłynął na niego tak szkodliwie?

— Rzecz się tak ma: dla talentu swój poczyty zaproszony bywał do salonów, w salonach utracił równowagę rozumu, swoje piękne uczucia sparalizował i co mógł być wieszczem ludu, zmienił się w narzędzie bigoteryi.

— Coż go u licha spowodowało do odwiedzania takich literackich salonów?...

— Źle zrozumiana chęć błyszczenia, chęć popisywania się swoim talentem na niewłaściwym polu i ciekawość poznania salonów. Najgorzej zaś młodzieńcowi nieustalonych zasad raz wleźć na woskowane deski, to i trudno mu rzec się przyjemnych dla młodego nosa kadzideł.

— Więc literackie salony byłyby prawdziwem nieszczęściem?...

— Nie dla wszystkich i nie wszystkie. Jeżeli są siedliskiem bigoteryi, człowiek rozsądny popatrzy się, ulituje się nad kołowacizną i nie zarazi

się bynajmniej; jeżeli zaś są zbiorem ludzi nauk i postępu, jak w istocie być winno, wówczas przez rozmowę z światłymi ludźmi znajdzie w wielu przedmiotach łatwe, przyjemne i nader pożyteczne objaśnienie. Dla tego życzyć należy, ażeby salony literackie zastąpiły owe dawniejsze biesiady, wyłącznie z kuchni i z piwnicy złożone, aby się u nas upowszechniły wszakżeż zawsze z najstaranniejszą bacznością na istotnie naukowy kierunek a nie w celu koteryi, pietyzmu, osobistych widoków podrzędnych lub czczej mody tylko.

— Coż pan sądzi o salonie literackim pani Cielątkowskiej?...

— Salony pani Cielątkowskiej są skutkiem troistój rachuby; — po pierwsze: pani Cielątkowska chce się bawić w salony; powtóre: chce wydać córkę za męż; po trzecie: chce się wsławić przez salony. Celu rzeczywiście literackich salonów nie zna, nie pojmuje a może pojąć nie zdolna.

Podczas mojej rozmowy z konsyliarzem panna Barbara na usilne prośby młodzieży usiadła do fortepianu i nieco piskliwym głosem odśpiewała kilka wyjątków z Normy. Młodzież objawiła uwielbienie w sposób beczelny; jakiś pan Czulo-wicz, nibyto w skutek doznanych wrażeń, udał rodzaj blizkiego omdlenia; pan Edward zawołał donośnie: „Niech się wszystkie Włoszki schowają przy śpiewie panny Barbary;“ inny kawaler znów zapewniał, że głos panny Barbary jest technieniem

aniola; czwarty westchnął i z uczuciem wymówił jeden tylko wyraz „bosko!”

Pani Cielątkowska, uszczęśliwiona powodzeniem Basi, już ją miała zawezwać do wyjątków z Łucyi; — aliści lokaje otworzyli podwoje jadalnego pokoju, zkąd zapach gastronomiczny mile zachwycił literackie powonienie.

Pan Cielątkowski z hrabiną B.... pomaszzerowali w pierwszej parze; hrabia B.... z panią Heleną puścili się w drugą parę; naczelnik z panią pułkownikową Językiewicz toczyli się w trzeciej parze; pan Trzaski z gospodynią domu postępowali w czwartej parze; wieszcz Gładecki z panią Barbarą szli w piątej parze; za nimi posunęła się reszta gości i w jednej chwili literacki salon przepłynął do jadalnego pokoju.

Podczas obfitej wieczerzy z początku mało co mówiono; dopiero gdy pierwszy głód zaspokojonym został, wszczęła się rozprawa o estetyce postępowej, o dykcyonarzu Jochera, o kasie oszczędności, o kolei żelaznej, w końcu pan Odwachowicz, autor rękopisu p. t. *Tajemnice mojej młodości* z sygarem w ustach rozpoczął opowiadanie swojego niegdyś sławnego na Polesiu romansu z żoną jakiegoś kapitana sprawnika. Do-wiedziałem się nazajutrz, że ten ciekawy przedmiot zabawił gości do godziny trzeciej z północy.

WSPOMNIENIE.

WSPOMNIENIE.

W Wielko-Polsce, na pograniczu Szląska, pomiędzy Lesznem a Wschową, w pięknym i obszernym siole, w Kąkolewie, roku 1805 dnia 28 Sierpnia o godzinie 2ej z południa pierwsze dnia światło ujrzałem.

„Kiedym panicza (słowa stariej Małgorzaty po wykąpaniu w deszczowej*) wodzie na drugą stronę dworca do jegomościwego zanosła pokoju, jegomość spytał mnie szybko: „syn czy córka?“ — Chłopiec, proszę wielmożnego pana, odrzekłam z pokłonem. Jegomość ujął swojego synka w obie ręce, pocałował w twarzyczkę i wymówił: „A więc już trzeci. Bogu niech będą dzięki!“ i oddał stojącemu obok lekarzowi z Leszna i spytał: „a co? zdrów?“ Pan Kąs, bo takie mu było nazwanie, zmie-

*) A więc nie prawda, co mi wielu ludzi często powtarza, że jestem w gorącej kąpany wodzie.

rzył panicza swojemi wielkimi oczyma, popatrzył się chwilę i rzekł do księdza francuzkiego, co go państwo nasi *Labuś* nazywali: „*Trzeba ochrzcić tego dziecka, bo ono nie może żyć ani 24 godzin, ma bardzo wiele wody w głowie.*“ Na te słowa jam struchlała, jegomość ojciec panicza widocznie się rozgniewał i sierrdzisto do doktora zawołał: „*Gdzież u licha tak nagle tę wodę zobaczyłeś, chyba w twojej głowie woda zamąciła ci oczy; dziecko zdrowe, oczęta mu się śmieją...*“ Tedy pan doktor rzekł: „*Niech wielmożny pan będzie uważał, jak jego to ogromna głufka, to nie ma żadnej proporcji do zdrowego główka*“ — poczem i ksiądz *Labuś* zaczął mówić po francuzku a jegomość, odebrawszy dziecko od księdza, niby mu się na płacz zbierało, znów pocałował panicza kilka razy i, oddając do moich rąk, przykazał, żeby tego nie gadać przed panią, com słyszała. Ja też otuliwszy dziecko w poduszczyk, odeszłam. Co oni tam mówili potem, nie wiem; ale po krótkiej chwili przyszedł jegomość do naszego pokoju i, pochlebiwszy jójmości, spytał, czy doktor może wielmożną panią odwiedzić? a otrzymawszy pozwolenie, przywołał pana *Kasa*; i gdy on doktor rozmawiał po cichu z wielmożną panią, jegomość skinął na mnie i pokazał dziecko w kołysce; jam tedy zrozumiała, o co idzie, wzięłam panicza na poduszkę i wyniosłam za jegomością na drugą stronę, a już tam w mo-

drym pokoju czekał ksiądz proboszcz i sołtys *Mateusz*. Jegomość rzekł tedy do mnie żałośnie: „*Małgorzato, proszę was, abyście z Mateuszem trzymali mojego syna do chrztu ś.*“ — a ja na to: „*A cóż wielmożna pani powie, kiedy to pan jenerał z panią jenerałową trzymać mieli?*“ a jegomość rzekł: „*Jak pani będzie zdrowsza, to ja już sam opowiem.*“ Z jegomością nie było długiego sprzeczenia, oddałam tymczasem dziecko do rąk *Mateusza* a sama chyżo pobiegłam, aby się jakoś na prędce w niedzielne szmaty przyodziać i gdy powróciła, już wszyscy szli do kościoła, bo chociaż obydwoj księża pozwalali, jegomość nie chciał chrztu w pokoju. Dogoniłam ich przy *Jedrzejowem* domostwie, weszliśwa do świeżo pobielonego kościoła i ledwośmy przyszli, zaraz się zaczął chrzest ś. — Ksiądz proboszcz zapytał: „*jak mu będzie na imię?*“ jegomość obecny wszystkiemu rzekł: „*ten patron, który go na świat przyprowadził, ś. Augustyn, niechaj go przez krótkie czy przez długie dni życia strzeże*“ — a ja poczęłam płakać; dopiero jak ksiądz proboszcz zapytał nad uchem panicza: „*Czego chcesz od kościoła Bożego?*“ krzyknęłam za *Mateuszem*: „*Wiary!*“ a paniczek oczki otworzył i niby się wesoło uśmiechnął; i potem odbył się chrzest ś. w całości. Byłabym zabaczyła, jegomość żądał, aby ksiądz proboszcz dał paniczowi jeszcze jedno imię, *Tadeusz*, ale

ksiądz Labuś koszlawie po polsku powiedział jakiś wyraz, który pono znaczył „za późno“ a potem dodał: „Jeden patron będzie go dosyć pilnował“ i skończył się chrzest ś. Jegomość rzucił na srebrną tackę trzy czerwuniusienkie dukaty a gdyśmy wyszli z kościoła, odliczył z jedwabnej sakiewki 12 saskich talarów, takich, co to je brali po 8 złp., w jedną rękę, i znów 12 talarów saskich w drugą rękę, podając Mateuszowi i mnie, rzekł: „Kupcie sobie w poniedziałek po jednej jałowce na jarmarku w Osiecznie na pamiątkę, żeście mi syna do chrztu ś. podawali.“ Ja już miałam sięgnąć, ale mnie Mateusz zawstydził, bo skłoniwszy się nisko, rzekł: „Toćże panie za chrześcijański uczynek nie godzi się brać nagrody; niech jeno Bóg wszechmogący panicza zdrowo uchwata, a jak panicz podrośnie, niechaj będzie sprawiedliwy i litościw nad nami“ — a gdy ja toż samo prawie co do słowa powtórzyłam, jegomość schował pieniądze do kieszeni, ścisnął rękę Mateuszowi i tak samo mnie uczynił i rzekł: „Przepraszam was, żeśm chciałem nagradzać pieniędzmi to, co się tylko sercem nagradzać powinno.“ — Za temi słowy poprosił wcale grzecznie Mateusza do dworu na poczęstne, bo mnie tam prosić nie trza było, bom ja we dworze służyła i niosłam panicza ku pokojom.“

Dalszych opowiadań Małgorzaty nie przytaczam, bo bardzo długie; raczej pospieszę do

tego miejsca, z którego poniższą powieść zaczynać należało.

W roku 1824 we wsi Czerlinie na jednym z darniowych pagórków, ze strzelbą na ramieniu, z księgą w rękę, patrzyłem się w około na obszerny widnokrąg, po którym miasteczka Kcynia, Gołańcz, Wągrowiec i Łekno, dziewięć pobliskich i odległych wiosek, zielonolistne lasy, skoszone łąki, obszary żyta, pszenicy, jęczmienia, owsa i tatarki!... że ja też nie romantycznie pisać nie umiem!... Tatarka! zkąd mi się tatarka pod pióro wsunęła! Eh! zacznę inaczej.

Było to 2 sierpnia 1824 r... słońce na złotym rydwanie wytoczyło się z poza Kcyni po malusieńku i bardzo ładnie świeciło; jam usiadł na kamieniu i zacząłem czytać po raz dziesiąty pisma Godebskiego, bo podleśny Strzałkowski jeszcze z Oleszna z psami nie powrócił. Zagłębiony w rodowych uczuciach wieszczą żołnierza, przeniosłem się całą myślą duszy mojej na pole zwycięstw i chwały, gdy na raz zątniło mi w uszach; oglądałem się, patrząc, aliści to Maciuś, ogrodnik z Łęgniszewa, na siwym jedzie wałachu.

— Cóż to za pilny interes, kiedy aż ciebie na konia wsadzili?

— Pani mnie przysyła, prosząc, aby pan dzisiaj nie polował i żeby pan z państwem pojechał do kościoła.

— Dzisiaj do kościoła?...

— Odpust jest w Gołańczy, *porcyun kuli*.

Spojrzałem się na strzelbę i na knieję, żal mi było odstąpić zamiaru, bo Strzałkowski widział wczoraj sarny; — ale życzenie rodziców uważałem zawsze jako rozkaz najwyższy, przeto przydłużywszy strzemion, bo Maciuś miał krótsze nogi odemnie, dosiadłem siwego i ulubionym kłusem, zostawiając Maciusia z wiadomością dla Strzałkowskiego, ruszyłem do Lęgniszewa.

Ukochany mój ojciec w upudrowanej peruce, w świątecznym ubraniu, już od pół godziny czekał na jejmość, to jest na najdroższą matkę moję, która jeszcze gospodarskie klucznicy wydawała zlecenia; zielony kocz *per modum bomby*, 30 lat trwałej usługi liczący, czerwonym safianem wybity, stał przed oknami a czwórka gniadych koni swojego chowu, w niedzielne półszorki zaprzężona, małemi strzygła uszkami i z dozwoloną przez starego Jana swawolą wolne od podkowy kopyta po gładkich strugała kamyczkach. Gdy w wszedł do pokoju, przywitał mnie ojciec temi wyrazy: „kto w święto poluje, diabłu służy; ubieraj się waść, abym znów na waścia nie czekał.“ Ucałowawszy rękę kochanego ojca, poskoczyłem do mojej komnatki i przed upływem 5ciu minut już z rodzicami jechałem do Gołańczy.

Zaraz za wsią pobożna matka moja zaczęła

godzinki; ja z ojcem głośno odpowiadając, czułem w tém rzetelną rozkosz, bo równie z rodzicami Bogu oddawana chwała podwójnie religijny ma urok, nie pojętą napełnia słodyczą, stokroć miłszą od wszystkich uciech świata i zostawia nam najdroższą z życia pamiątkę. Dwadzieścia lat przedziela mnie od owęj chwili a jeszcze dźwięk każdego wyrazu tych godzinek błogiem uczuciem zalega w piersi i ten dźwięk nie opuści mnie do grobu, bo z duszy rodziców do duszy syna doleciał.

Bukowy las był granicą, w której godzinki, jeśli nie zachodziła nadspodziewana przerwa, zwykle ukończonemi były, co też i tym razem tak się stało, a ojciec mój, zażywszy tabaki, spytał mnie, czym uważał, że czerlińscy parobcy, których my omijali, szli jakoś z gęstą miną i dodał: „bodajbym się pomylił, ale mi się zdaje, że oni dzisiaj mają coś na celu, bo i średniacy *) szli z kijami świeżo uciętemi.“

— Nasi Czerlińscy zawsze mają gęstą minę, — odrzekłem z zadowoleniem.

*) W Poznańskiem nazywano podówczas średniakami takich wyrostków, którzy służyli na wsi u gospodarzy w znaczeniu niższém od parobka z przysiewku a w wyższém od chłopców, pasących bydło i konie. Średniak chodził w pole z sierpem, parobek z kosą; średniak mógł już bić cepą! sieczkę rżynał, ale na siew nie orał, pracował tylko za jadło i za przyodziewek. Powierzchnia zaś różnica była ta, że parobek, idąc do kościoła, miał na sobie dwie długie, bardzo gęsto od stanu fułdowane sukmany, siwą czapkę albo okrągły kapelusz, suto w pawie pióra strojony, —

— Kto wie, czy oni się nie zmówili z Morakowianami na Chawłodniaków, bo to już kilkanaście lat, jak Noraków z Chawłodnem żyje w nieprzyjaźni. Upomnij też Czajkę, jak przyjedziemy do Gołańczy, żeby przykazał naszym ludziom, aby się do żadnej bijatyki nie mieszcali, bo to ta nieprzyjaźń skończy się na Koronowie. *).

Dalszą w tej mierze rozmowę przerwał turkot bryczki i huk z bicia; Pan Gromadziński jechał czterema końmi, kawaler na wydaniu; woźnica nie żałował ognia z pakuł, bo wiedział, że go pan za to lubił i za głośnie trzaskanie nie jedną winę darował. Im więcej zbliżaliśmy się do Gołańczy, tem różnorodniejsze jawiły się ze wszystkich stron telegi, bryki i bryczki. Od Oleszna jechał ośmdziesięcioletni Łakiński, żółtym faetonikiem na resorach, w cztery kasztanowate klacze z czterema źrebkami, wolno truchteczkiem; za nim ekonom z żoną na parokonnej bryczce; od Morakowa pan Bredkrajcz karyolką, wdowiec, piątką w kra-

w rękę niósł łagę, przez opaloną na niej słomę oczerwienioną, olejem dla połysku wysmarowaną, w cynę u góry oprawną, w olów i żelazną skówkę u dołu opatrzoną a zawsze sekowatą, bo była albo z jabłoni albo z głogu; — średniak szedł tylko w jednej sukmanie, włożonej na kaftan, pomiernie fałdowanej, na kapeluszu nosił mniej pawich piór, a kij jego był tylko świeżo ścięty dębeczak bez oprawy a nawet bez rzemienia do ręki.

*) W Koronowie było sądowe więzienie.

kowskich chomontach; od Jaktorowa galopował na karym ogierku pisarz prowentowy; pan burmistrz z Keyni walił trójką, bo wioził żonę, dwie siostry w panińskim stanie i dziatwy kilkoro; — zgoła gdzie spojrzeć, na kołach, konno, pieszo zdążali ludzie do Gołańczy a wszyscy strojnie i wesoło, gdyż to był sławny namil dwie w około dzień *Porciunkuli*. Gdybym się nie lękał zarzutu o rozwlekłość, opisałbym miasto Gołańcz z białą i jak szydło śpiczastą wieżyczką farnego kościoła i z czerwonymi murami bernardyńskiego klasztoru, — z sześciu uliczkami, — z czworogrannym rynkiem, — z pocziwą ludnością wyznania katolickiego, w małej części izraelskiego a w mniejszej jeszcze ewangelickiego; — opisałbym znanych mi od dziecka aż do starca mieszczan, rzemieślników, kupców łokciowych i pieprzowych, handlarzy na owcze skórki, dzierzawców na sady; — opisałbym fabrykanta powozów pana Hoffmana i jego rodzinę, — kołodzieja w polskiej kapocie Bryfczyńskiego! — i pana Abrahama Kaufmann, mającego osobny pokój dla szlachty i izbę szynkowną dla chłopów, przyczém od soli aż do cukru wszelki towar, nie wyjmując prochu i śrótu, za które płaciłem rocznie od 20 — 30 talarów; — opisałbym te mury w dworskim sadzie, co są szczątkami owego zamku, w którym roku 1656 garstka walecznych

w obronie przeciwko Szwedom krwawy zgon znalazła. Opisałbym nader szacownego księdza Cellerę, proboszcza a później dziekana, u którego wiele doznałem pieczyoty i nie mało jabłek i gruszek stepilem; — opisałbym gościnnego ks. gwardyana i całe zgromadzenie OO. Bernardynów, nie pomijając ks. Majkowskiego, co ongi służył sierżantem w wojsku a na starość był kaznodzieją w klasztorze, który co niedziela prosił o pobożne westchnienia „za dusze w kurzawie wojennej poległych braci;“ — nie pominałbym nawet organisty od fary, który umiał *privatissime* biesy z opętanych wypędzać, za co brał kaszę, łój, talkę przędzy, czasem i prosię, wedle zamożności świadków exorcyzmu; ale nie czas potemu, bo dzisiaj wtorek a ja na środę, na jutro, przyrzekłem do drukarni rąmotkę; nie można więc pisać tomików ani się też rozprysnąć na 30 różnogatunkowych osób, gdyżby i końca nie było a znów nie podobna z kończącym się rokiem rąmotkę bez końca drukować, a więc dążę do głównego celu.

Po solenném nabożeństwie ks. gwardyan, uprosiwszy dobrodziejów klasztoru i zaprosiwszy wszystkich łaskawych na klasztorny obiadek, wystąpił z obiadem o dwóch zupach, rakowej i zapalanej, z pasztecikami i ze sztufadą po benedyktyńsku, z flakami w obsypance i z potrawą z kurcząt z agrestem i z leguminą z sokiem malinowym, z pieczenia cielęcą i ze

zwierzyną i komputem z jabłek, do czego nie żalowano ani cynamonu ani gwoździaków, i z ciastkami, które wybornie upiekł kucharz pana Ulatowskiego. Wina było naturalnie także odpowiednio uroczystości i to garniec nie na 8 i nie na 10 złp. ale po 2 talary od Zapałowskiego z Wągrowca, — o co gołaniecki kupiec, Abraham Kaufmann, długo do klasztoru głęboką żywił urazę. Po obiedzie, podczas gdy pannie w klasztornym ogrodzie piękne owoce chwaliły a panowie czarną pili kawę i o rozpoczętych żniwach i o polityce rozprawiali, dano znać, że w dworskiej karczmie krwawa, mordercza pomiędzy chłopami rozpoczęła się bijatyka. Na tę wiadomość kilku z obywateli a pomiędzy tymi i mój ojciec, do którego grotna i ja się przyłączyłem, skwapliwie, przyspieszonym krokiem ruszyliśmy na miejsce walki. — Wychodząc na ulicę, usłyszeliśmy bicie w bęben i straszliwy wrzask. W bęben bił siodlarz Hofmann, stojący z całą siłą zbrojną tuż pod murami klasztoru, to jest z sekretarzem pana burmistrza i z dwoma policyantami; wrzask zaś szerzyły wołające ratunku kobiety, których mężowie należeli do bitwy.

Już o 500 kroków od placu walki dochodził uszu naszych głuchy łoskot, podobny do bicia cepami; — były to uderzania kijów po twardych czaszkach rozjuszonych rycerzy. — Kiedym, wyprzedzając innych, wbiegł na rynek,

Wojciech Trzpiel, beżenny gospodarz z Czerlina, dyszlem, z furmańskiej bryki wyłamanym zmiotł w jednym zamachu 5 czy 6 Chawłodniaków, a znów parobek Smoła ze wsi Tomczyce sztabą żelaza, ujętą ze sklepu Abrahama łemotał parobków morakowskich, — po stornach bili się sękowatemi kijmi w młyniec, to jest po parze plecami swój z swoim złączeni; pod ratuszową budką Walek Sobka a Sobek Walka oburącz za długie włosy do ziemi przyciągał a jakaś odważna baba tłukła Sobka kamieniem po plecach, a wszędzie płynęła krew i ciężki jęk wydobywał się z piersi walczących. Rozbroiwszy Trzpiela, wyrwałem Smole sztabę żelaza, Sobka i Walka rozłączyłem. — Obecność księży i sąsiednich panów pokonała resztę; w jednej chwili ustało morderstwo, a gdy siodlarz Hoffman z głośnym bębniem i z trzęsącą się od strachu siłą zbrojną ostrożnie wchodził na rynek, już każdy z panów surowym rozkazem ludzi swoich do domów rozsyłał. — Opowiadania mieszczan po minionym przestרחu; odżyła gadatliwość mieszczek; szwargot z ukrycia wynurzających się żydów, z których każdy przed znajomym sobie panem podchlebiał się stronném świadectwem; lament żydówek, które w piasku szukały swoich serów, śledzi, gruszek i obwarzanków, — nie wiem, jak długo trwały, gdyż, dosiadłszy ekonomskiego człapaka, ruszyłem podług rozkazu ojca mego, aby przeszkodzić

dzie wznowieniu bitwy na krzyżówce za probostwem, gdzie Morakowianie na Chawłodniaków w silnej gromadce czekali.

Szóstego sierpnia tegoż samego roku o godzinie 8 rano, w urzędowej izbie gołanieckiego burmistrza zasiedli za stołem nieocenionej poczciwości Chlebowski, niegdyś pułkownik a podówczas sędzia pokoju z Wągrówca, — prawego charakteru lantrat Dembiński i sądowy protokulista, nieco zyzowaty, pan Stieglitz; przy drzwiach stało dwóch żandarmów w zielonych mundurach, jam usiadł przy oknie, patrząc się z głębokim żalem na płaczące kobiety i na 30 chłopów, zostających pod strażą pruskiej piechoty. Sędzia pokoju (do którego podług urządzeń pruskich i sąd policyi prostej należał) podyktowawszy panu Stieglitzowi: „Działo się w Gołanicy dnia i t. d.“ rozkazał przywołać żyda Herszka, arendarza z karczmy dworskiej, czekającego za drzwiami.

Herszek był to izraelita wysoki, chudy, z włosiem wiewiórczym, z oczyma siwemi, w których najwyższa przebiegłość i śmiałe cyganiństwo nadzwyczajnym ogniem błyszczały, — a obok tego malował się na twarzy przestרח i trwoga, bo chociaż dobrze wiedział, że on jest tutaj niewinnym, lękał się jednak, aby swém zeznaniem pijących u niego co niedziela chłopów nie zdradził a przeto najzyskowniejszej

przyjaźni nie postradał, albo też zemsty nie wywołał; postanowił przeto tak odpowiadać, aby nikogo nie naraził.

— Jak się nazywasz?...

— Herszek Cukier.

— Ile masz lat?...

— Będzie mi się skończyć 40.

— Jakiś jesteś religii?...

— Żyd.

— Czy ty jesteś dzierżawcą dworskiej karczmy?

— Mam kontrakt na 3 lata przez wielmożnego ks. Ryterskiego wydany, juści że ja jestem dzierżawcą.

— Byłeś obecnym w domu w dniu 2 sierpnia r. b. podczas odpustu porcyunkuli.

— Kiedy ja z góry zapłacił dzierżawę, dla czego nie miałem być obecny?...

— Ja się nie pytam, czyś dzierżawę zapłacił czy nie, tylko żądam odpowiedzi, czy byłeś w szynku w rzeczonym dniu, czy nie byłeś?...

— Dla czego nie miałem być?...

— Więc byłeś w domu?...

— Moja żona była, moje dzieci były i ja był.

— Kłótnia, która u ciebie rozpoczęła się pomiędzy chłopami z Chawłodna i z Morakawa, jakież istotnie miała początek?

— Jaka kłótnie? żadne kłótnie nie słyszałem.

— Więc nie wiesz o żadnej kłótni?

— O żadniutenkiej kłótnie nie wiem.

— I możesz na to przysiąc w bóżnicy, w śmiertelną koszulę?

Herszek pobladł, spojrział się ku mnie i odpowiedział sędziemu zmienionym głosem:

— Przeświecny sędzie, kiedy ja mam przysięgać, ja będę powiedział prawdę, szczerą prawdę. Ja siedziałem za szynkwasem właśnie i rozmawiałem z jednym *psiechodniem* człowiekiem, który się u mnie dowiadywał o jakiego służbę do sąsiednich państwa i kiedy ja mu rozmawiam, że może się dać na włodarza do pana Bredkrajca z Morakowa, bo tam jednego odegnali, richtig wtenczas psiszedł czarny Kube z Chawłodna a za nim wgarnęły się chłopcy, bo już dzwonił w klasztorze po nabożeństwie, i ten czarny Kube krzyknął sobie ochoczo: „Herszek! dać nam z Chawłodna 1 sztof wódki“ a ja też przestawszy gadać z tym człowiekiem *psiechodnim*, nachyliłem się do beczki i utoczyłem sztof gorzałki i podałem mojej córce, żeby Chawłodzkim ludziom na stół zaniosła, a tymczasem stał już przed szynkwasem sołtysiak z Morakowa i wołał: „Herszek dla nas 2 sztofy.“ Ja wiedziawszy, że sołtysiak zapłaci, utoczyłem 2 sztofy i podało się w dwóch gąsiorach i blaszane statki i spytałem, czy mu nie potrzebny kołacz albo żytnie gryzki na poczęstne.

I cóż dalej?...

— Prześwietny sądzie, oni jeszcze nie nie dali, bo się dopiero żniwa rozpoczęły, więc się do jesieni kredytuje znajomym parobkom. —

— Głupi jesteś; ja się pytam, co się nastąpienie działo?

— Co się miało dziać?... Chłopi pili wódkę.

— Ale któż rozpoczął kłótnię?

— Żadnej nie było kłótnię.

— Więc przysięszes, żeś nie słyszał żadnej kłótni.

— To jest, ten czarne Kube bardzo głośno rozmawiał z sołtysem; tego ja słyszał

— Któryż którego pierwój uderzył?

— Żadnego uderzył! dla czego miał uderzyć?... ja nie nie widział, ja nie nie wiem.

— Słuchaj, żydzie, jeszcze raz ci powtarzam, że to wszystko, co tu do protokołu powiesz, dzisiaj jeszcze w bóżnicy przysięgą stwierdzisz.

— Prześwietny sądzie! ja bez przysięgi mogę żadnego fałszu nie dyktować; — jak ten czarne Kube *dicht* głośno z sołtysiakiem rozmawiał, tak czarne Kube, miawszy kij w rękę, położył go na sołtysiaka, ale go zaraz wziął precz.

— Kto położył?...

— Kuba, czarne Kube z Chawłodna.

— Ale co położył?...

— Swojego kij.

— A więc Kuba bił sołtysiaka?...

— Uchowaj Boże! któż tego powiedział?...

— Ty powiedziałeś, że kładł kij.

— Ale go zaraz wziął precz.

— A jakżeż, sołtysiak czy także kład kij na Walku?

— Sołtysiak także położył.

— Czy wiele razy położyli te kije na siebie?

— Kilkanaście razy.

— Któryż którego pierwój skaleczył?...

— Jakiego skaleczył?...

— A przecież była krew! i do dziś dnia są czerwone plamy na podłodze.

— Krew była, prawdę, *dicht* czerwone, katolickie krew, ale żeby jeden drugiego skaleczył, tego ja nie wiem.

— Więc jakże miarkujesz, zkąd się tam ta krew wzięła?...

— Prześwietny sądzie, może z Kubowego kija, może też odelba Walkowego z Tomczyc, bo on się tamtędy także przechodził, ale ja nie patrzył, ja oczy zamknął i krzyczał „aj! waj!“

Po kilku jeszcze zapytaniach sędziego, który z uśmiechem i z łagodnością słuchał dziwacznych wyrażen odpowiedzi Herszka, przywołano z kolei winowajców; pouczeni przez kogoś, że, jako *complices facti*, do przysięgi pociągani być nie mogą, wyłgiwali się chłopcy jak mogli; świadkowie z miasta byli tacy, którzy mało cò widzieli; żandarm odmienił swoje pierwotne doniesienie, — i jakoś cały występek winowajców okazał się o wiele mniejszy, aniżeli z początku mniemano, gdyż i powiatowy fizyk sumienne

dał świadectwo, że z 17 rannych żaden nie umrze. Resztę dnia skończyliśmy na plebanii u księdza Cellerera, gdzie sędzie Chlebowski przegrał do mnie 34 srebrniki w wiska, a lantrat wyszedł na aksamicie, to jest, ani przegrał ani wygrał.

W dniu 28 sierpnia, a więc w 3 tygodnie później, w dniu mych imienin, równo ze wschodem słońca przebudzony zostałem warczeniem leżącego przy mojem łóżku Tyrasa i poszmerem w sieni. Wtém otworzyły się drzwi i weszło dwoje dziewczuch świątecznie ubranych i sześciu parobków. — Było to poselstwo z sąsiednich wiosek, poselstwo dziękczynienia za moje pośrednictwo pomiędzy dniem 2 i 6 sierpnia, poselstwo od poczciwych chłopów z powinszowaniem moich imienin, z podarkiem orzechów i miodu w świeżych plastrach. —

— Siostrzycki i bracia moi! com dla was uczynił, pochodziło z czystej do was miłości; przyjmuję podarunek, aby waszych serc wdzięcznych nie obrazić, ale was zarazem proszę, abyście na przyszłość w każdej przygodzie udając się do mnie z ufnością, przychodzili bez żadnych podarków, gdyż Mateusz, mój chrzestny ojciec, nauczył mnie, że za chrześcijańskie uczynki żadnej nie należy brać nagrody.

SYMPPLICIUSZ RZESZOTKO,

Przez pannę Katarzynę zdradzony, cukrową wieczera
w lodowni postradał; Kręcicki najpomyślniej się
wykreślił.

Powiatka z tegoczesnych obrazków.

SYMPLECIUSZ RZESZOTKO,

*przez pannę Katarzynę zdradzony, cukrową wieczerzą
w lodowni postradał; Kręcicki najpomysłniej się
wykręcił.*

Powiadka z tegoczesnych obrazków.

Sympliciusz Rzeszotko, syn obywatelski już pełnoletni, bo 32 roczki życia swojego liczący, — młodzieniec na urząd zbudowany więcej niż słusznego wzrostu, w plecach szeroki, twarz czerstwa i rumiana, usta wyraziste, zęby białe i kardeszowate, czoło niskie, włos rudy i gęsty, oczy chociaż nie wielkie lecz ani czytaniem ani miejską swawolą niesturbowane a więc wesołe i zdrowe, nos nakoniec rozłożysty, któren wybiegał cali dwa i pół pod kątem prostym, przyzwoity stanowiąc kapturek nad krótko strzyżonym wąsem, — jednym słowem: Sympluś, chłopiec przystojny, dziedzic Gapiejowic, obszernej własności bez długu. — Prochu nie wynalazł, ale cztery działania arytmetyczne niezgorzej umiał na pamięć; w drobniejszych okolicznościach nie potrzebował pisarza; z literatury ojczystej znał

bajki Krasickiego i już po raz trzeci zabierał się do życia Napoleona wydania Merzbacha, ale myśl o pannie Katarzynie z Chawłodna tak olbrzymiego przedsięwzięcia do skutku przywieść mu jeszcze nie dozwoliła.

W roku, w którym się osnowa poniżej orzeczonych zdarzeń zaczyna, Wielkanoc przypadła jakoś przy końcu kwietnia; w przewodnią przeto niedzielę łąki już się pięknie zazieleniły, powietrze było majowe, dzień jasny i pogodny, a pan Sympliciusz, siedząc na ławie w krużganku przed swoim dworcem, po całodzienném dumaniu pokreślił wąsa i znów dumać zaczął, czy jechać do panny Katarzyny, czy nie jechać?... Wreszcie wpadł na szczęśliwy koncept, porachował guziki u fraka, były parzyste a więc zaprzęgać kazał.

W Chawłodnie u państwa Rozdętowiczów licznie zebrane sąsiedztwo w poobiedniej chwili rozdzieliło się na rozmaite gromadki; — starsi panowie, ubolewając nad czytaniem w Gazecie warszawskiej artykułami o oczynszowaniu włościan, przy smacznym węgrynie dowodzili, że ten projekt ubogich mędrców, co pod strychem chcą cudzemi majątkami rozrządzać, z wielu względów udać się nie może, zwłaszcza że kraj jest ubogi i do podobnych niebezpiecznych odmian moralnie nie usposobiony; a lubo brat pani Rozdętowiczowej, który z poza Prosny w odwiedziny do szwagra i siostry przybył a temu kłopotowi obywateli Małopolskich obecny, za-

pewniał, że i on przed 15 laty tak samo mylnego był zdania, dopóki go najpomysłniejszy skutek inaczej nie przekonał; — wbrew jednakże wszelkim najjaśniejszym dowodom dobra ogołu, — *o co mniejsza*, — ale i wbrew niezbitym dowodom oczywistych korzyści dla samychże dziedziców, — *o cowiększa*, — jakie Wielkopolanin z błogiego doświadczenia objawił, — stanęło w Chawłodnie na tém, że przy dawném pozostać winno i że *po później* może się to da zrobić ale *nie na teraz*. Zaczem Wny. Rozdętowicz, nie oznaczywszy bliżej tego wyrazu *po później*, w słodkiem przekonaniu, że żaden uszczerbek dogodnej pańszczyzny za jego życia nie nastąpi, powtórnie cztery butelki z piwnicy przynieść rozkazał.

Starsze panie zajęte były pochwałami białej jak śnieg i cienkiej serwety od kawy, którą pan Rozdętowicz wraz z inną bielizną stołową przeszłego roku z *Karlsbad* był przywiózł, nie opłaciwszy szczęśliwie cła na komorze polskiej, bo wszystkimi sprawunkami żonę, siebie i służących pod sukniemi zręcznie, to jest niewidzialnie poobwijać potrafił a strażnikowi 20 złp. w przyzwoitym czasie wcisnął do ręki.

Uwaga pani Rozmysłowskiej, że nasze krajowe wyroby coraz są lepsze a przy szczerém staraniu o dobrą przędzę zaspokoić mogą i wymysłniejsze potrzeby, oburzyła panią sędzinę Bawolską o tyle, że jęj wręcz z przyciskiem powiedziała:

„Trzeba się nie w domu obywatelskim ale przy kołowrotku urodzić, aby mieć staranie o lepszą przędzę; nadto proszę mi powiedzieć, jak można dać na stół krajową bieliznę, *kiedy się gość trafi*.

— *Vous avez raison, ma chère*, — poparła panią sędzinę pani Dymalska; — np. wydając córkę za mąż, ciekawam, coby nasza młodzież powiedziała; gdybym której z moich pańien krajową bieliznę na wyprawę dać się ośmieliła; pewnoby się młodsza zestarzała. Właśnie tego roku, skoro mąż mój odbierze odnowioną z Towarzystwa ziemskiego pożyczkę, pojedę z hrabiną do Wrocławia, aby Żanetce i Emilce kupić wyprawę.

— Więc można już powinszować!?

— Jeszcze nie zupełnie, gdyż pan Adolf przy landsknechcie okazał się dla mojego męża cokolwiek niegrzecznym, odmówił mu też ostatejniej decyzji swojej; — ale ja tam na niego nie uważam i z méj strony Żanetkę panu Adolfovi Golskiemu przyrzekłam, bo to tylko chwilowy grymas jegomości i niepamięć, że i on pana Adolfa w preferansie ogrywał; dobrze więc, że się chłopczyśko zrewanżuje; — piękniejszym też za to ekwipażem do ślubu wystąpi.

— Pani zapewne w Wrocławiu i dla siebie porobisz sprawunki?...

— Naturalnie że kupię cokolwiek i dla siebie.

— Rekomenduję pani na suknię atlas lyoński w desen u Immerwahra.

— Tak, już to kilka sukien muszę sobie sprawić; ale ja myślę prócz tego, aby mi się okroiło na szal, bo u naszych kupców warszawskich trudno prawdziwy napotkać.

Nachylając się do ucha pani Dymalskiej, konfidencyjnalnie zapytała sędzina: „*Ma chère*, ile myślisz wydać na wyprawę?” Pani Dymalska, uprzejmie się uśmiechnąwszy, cicho odrzekła: „Bierzemy 40,000 złp. odnowionej pożyczki, jeżeli więc żyd mojemu mężowi długu poczeka, radabym wszystko zagarnąć.”

„O toby się dało okroić na prawdziwy szal!” z westchnieniem zazdrości wymówiła sędzina.

Nie wątpiąc, że żyd za dobrym procentem poczeka, że jejmość całą odnowioną pożyczkę zagarnie i że się dla jejmości z pewnością okroi, przepraszam czytelników, iż się zbyt długo przy starszych paniach bawiłem; — proszę więc teraz do młodszego grona.

W obcisłym fraczku wysmukły kawaler, pochylony za krzesłem panny Katarzyny, ten, który jęł szepce, że ją uwielbia i kocha nad życie, jest to Julian Kręcicki, jego matka Charapnicka z domu; — familiant, przystojny, edukowany, bo aż 5 klas skończył w szkołach lubelskich, pół roku był w Dreźnie, posiada majątek dziedziczny w Chrubieszowskiem, jego liberya opatrzona jest w cynowe pobielane klamerki her-

bowe, pozyskał w całości serce panny Katarzyny; — a i rodzice panny byli mu w początkach wielce przychylni, ale wtorkowe gazety szatańskiego wypłatały mu figla, bo czy winą obrońcy sądowego, czy skutkiem omyłki, czy skutkiem rzeczywistej nieubłagalności wierzy ciela, dosyć, że w owych gazetach wtorkowych najwyraźniej wydrukowano ogłoszenie koniecznej sprzedaży dóbr Wielkie i Małe Kręty wraz z folwarkiem Mydłosław, które to dobra majątek pana Juliana Kręcickiego stanowiły. Takowe ogłoszenie nie więcej jak słusznie, że nadzwyczajną sprzeczność z dawniejszemi widokami w umyśle państwa Rozdętowiczów sprawiło i bezwątpienia téjto jedynie sprzeczności wynikłością mienić tylko można, że pan Rozdętowicz po przeczytaniu wtorkowych gazet miał długą sam na sam z żoną naradę a następnie, zawoławszy Kasi, łagodnie ale poważnie rodzicielskiego udzielił jęj napomnienia, ażeby dla pana Symplicjusza Rzeszotko w ogóle była najgrzeczniejszą, a po szczególe, aby na jego zapytania miłym i wdzięcznym uśmiechem odpowiadała; ażeby w owych odwracań się i wszelkich dąsów zaniechawszy, skoro objawi prośbę o grę na fortepianie, o śpiew jakiej ulubionej przezeń arii, aby mu téj przyjemności bynajmniej nie odmawiała; a gdy uczyni wyznanie szczerych uczuć, ażeby z przyjemną skromnością takowe przyjęła, nie pomijając wszakże przyzwoitego

odwołania się do woli rodziców; — pana Kręcickiego zaś aby sobie zupełnie raz na zawsze z głowy *wyperswadowała*. Do tego ojcowskiego napomnienia dodała matka: — „Moja Kasiu! mówiłaś mi już dawniej, że się do pana Rzeszotko z przyczyny jakoby jego ograniczonych wiadomości przekonać nie możesz, otóż Ci wyjawię, że twój ojciec nie posiadał więcej nauk od pana Symplicjusza, żyjemy przecież ze sobą 30 lat mniej więcej szczęśliwie; przytém prawda, że pan Kręcicki jest światowy, że był za granicą i że jego matka Charapnicka z domu, ale też z drugiej strony, moje dziecko, pan Rzeszotko długów żadnych na Gapiejowicach nie ma, sąsiaduje z nami; jest także wylegitymowany i mężczyzna wiele obiecujący pod względem szczęścia małżeńskiego, które, wierz mi, moje dziecko, mnóstwo cierpień naszego życia osładza, — i w téj mierze mogę ci więcej pomyślności rokować z panem Symplicjuszem, aniżeli z panem Kręcickim, którego zdrowie nie mało zdaje się być nadwerężoném.

Pomimo tak rozsądnych napomnień ojca i światłej uwagi matczynéj panna Katarzyna na pozór udając posłuszeństwo, w sercu swoim przysięgła dla Juliana miłość, wierność i stałość aż do grobowej deski.

— Pani czy podzielasz swoich rodziców obawę o mój majątek? — zapytał dzisiaj półgłosem Kręcicki, który z okazanej mu przez

państwo Rozdętowiczów oziębłości domyślił się, o co rzecz idzie.

— Panie Julianie! — odrzekła ogniem miłości płonąca czarnobrewa dziewczica, — zasługujesz na taką z strony pana o moich uczuciach wątpliwość?...

— Aniele mojego życia, duszo mojej duszy!...

Rozgłośny trzask z bicza i turkot pojazdu przerwał słodkie wyrazy rozezulonego młodzieńca i w téjże chwili czworokonny kocyk zajechał przed dworzec Chawłodna. —

— „Pan Rzeszotko!“ zawołał ktoś z gości; wszyscy na Juliana, Rozdętowicze po sobie spojrzeli a niebawem ukazał się w progu Sympliciusz w całej okazałości.

— „Witamy łaskawego sąsiada!“ — wyrzekł gospodarz domu i przyjaźnie podał rękę i nadstawił ogorzałego lica, które pan Rzeszotko z obu stron najserdeczniej ucałował, a następnie zaczawszy od gospodyni domu, wszystkim damom z kolei rączki ustami swemi namaszczył, poczem jeszcze kilku sąsiadom dubeltowe oddawszy całusy i nakoniec przekonawszy się, że o nikim ze znajomych nie zapomniał, jakby tym obrządkiem zmęczony, usiadł przy pannie Katarzynie i z przymileniem o zdrowie zapytał.

Panna Katarzyna w dwudziestój wiosnie dziewczego życia chlubiła się tak wyraźnym dowodem zdrowia, że jój tuszę i krasny rumieniec na wystawie sztuk pięknych umieścićby można;

życzliwe więc zapytanie pana Sympliciusza zdawało się być nadmiarem troskliwości, został jednakże zaszczycony odpowiedzią: „Dziękuję panu, zdrowa jestem.“ — Nie tak łatwém, jak pierwsze, było drugie zapytanie pana Sympliciusza, gdyż długą się chwilę namyślał, zanim się odezwał: „Państwo byli dzisiaj w kościele?“

— „Byliśmy“ — odrzekła panna Katarzyna. — Po obustronném znów przeciągłém milczeniu już się pan Sympliciusz zabierał do pochwały dnia pogodnego i właśnie ułożył sobie trzecią odezwę w wyrazach. „Jak piękną dzisiaj mamy pogodę!“ kiedy pan Rozdętowicz napełniwszy kieliszek, wychylił do pana Dymalskiego: „*Przybycie pana Rzeszotko, łaskawego sąsiada!*“ Zerwał się więc pan Sympliciusz ze swojego *punctum* i poskoczył napełnić inny kieliszek zdrowiem państwa Rozdętowiczów. Tymczasem Kręcki zajął przy pannie Katarzynie miejsce Rzeszotki i z przytłumioném westchnieniem na uszko poszepnął: „Ubóstwiona przezemnie istoto! tylko dla ciebie znieść jestem zdolny takie piekło udręczeń!“

— Drogie Julianie! — jak najciszej odrzekła Kasia i na silne uściśnienie swój drobnej rączki szczerém odpowiedziała uściśnieniem dłoni lubego kochanka...

Młodości! ty, która znasz tajniki serc płomiennych, ty jedynie byłabyś zdolną godnie określić wdzięczne a ogniste uczucie Kręckiego

i ty jedynie zdążyłabyś policzyć bicie tętna panny Katarzyny; — ja zaś świecący łysiną, powiem tylko, że długo jeszcze kochankowie szeptali, podczas gdy pan Sympliciusz przy kieliszku, pośród rozmowy ze starszymi obywatelami, badawcze na pannę Katarzynę a groźnie na Kręcickiego rzucał spojrzenia.

Minęły żniwa; siew jesienny już był w polowie, pani Rozdętowiczowa smażyła powidła, pan Rozdętowicz z przyszłym swoim zięciem, z panem Sympliciuszem pojechali z gończemi do kniei i zdala słyhać było, jak pojezdnego trąbili, kiedy panna Katarzyna, której drugą zapowiedź z panem Rzeszotką wczoraj z ambony w parafialnym kościele ogłoszono, najgwałtowniejszą wiedziona rozpaczą, otuliwszy się w kryspinę, ostróżnie, aby nie być widzianą, zdążyła do chatki po za ogrodem, gdzie mieszkał siwobrody Jankiel, dzierzawca mleka, z dawien dawna nadworny faktor dziedziców Chawłodno.

— Jak się niewacie, Jankielku! — mówiła panna Katarzyna, wchodząc do izby żydowskiej, — widziałam was powracającego z jarmarku, przychodzę więc po obiecaną wiadomość...

— Aj waj! panienka sama się będzie fatygować?... ja właśnie miałem iść do dworu.

— Lepiej, żeście nie przyszli, we dworze

mógłby nas kto podsłuchać; — powiedzcie mi, czy widzieliście się z panem Kręcickim?

— Dla czego się nie miałem widzieć? przecie ja po to pojechał. Pan Kręcicki bardzo jest zdrow, panienkę wiele razy pozdrawia i dał mi list, życzywszy sobie, aby samą panienkę do rąk oddać bez żadnego świadków, — co ja też będę zrobić. „Ryfkę gaj raus!“ —

Na rozkaz taty młoda Ryfka, zagarnawszy ze sobą młodego bachora, wsunęła się do komory; poczem Jankiel zdjął ze siebie skórzany trzos i wytrząsnawszy z trzosa płócienny woreczek, wyjął z niego w Warszawskiego Kuryerka obwiniony list różowy z napisem:

A Mademoiselle Mademoiselle

Catherine de Rozdętowicz

par bonté.

à Chawłodno.

Na widok liter, ręką Juliana stawianych, panna Katarzyna wpadła w to lekkie omdlenie, które zwykle bywa posłannikiem gwałtownej radości i szczęścia. Jankiel, nie znając delikatniejszych uczuć płci pięknej wyższego stanu, spostrzegłszy mniemaną bezwładność i horyzontalne zatoczenie ócz panny Katarzyny, krzyknął, co mu gardła starczyło, i w téjże chwili zaczerpnawszy w nagłym pośpiechu zamiast wody serwatki, pod ręką w cebrze stojącej, wiedziony

szczerą chęcią trzeźwienia, oblał obficie twarz i serce panny Katarzyny.

Ten słodko-kwaskowaty płyn, w którym się znaczna ilość sera znajdowała, nie tylko że natychmiast przytomność panience przywrócił ale i oburzenie przeciw zbyt usłużnemu Jankłowi wywołał. Wbiegła na ten hałas Ryfka i naprzemian tatę do komory wypchnąwszy, uwolniła panienkę z mokrego ubrania; zanieciła na kominku ogień i sukienki suszyć poczęła. Wówczas dopiero panna Katarzyna, osłonięta sukienką kryspinką Ryfki, serwatką zlaną list drogiego kochanka chciwemi pochłonęła oczyma; był zaś następujący:

„Życie mojego życia! Aniele mojego zbawienia!

„Dzięki, żadnym nie wysłowne wyrazem, przesyłam ci, najdroższa, za ten balsam pociechy, który twoją stałością wlaś w serce moje; a więc wreszcie przekonałeś się, o luba! że nam inny nie pozostaje środek. — Nie marnujmy słów, gdzie czynu potrzeba; ja dzisiaj jeszcze wyjeżdżam do Warszawy dla wyjednania indultu i w sobotę o 3 kwadrans na dwunastą z gronem wiernych mi przyjaciół oczekiwać cię będę przy lodowni. Aż do tej chwili żadnej ci o sobie nie dam wiadomości, bo lękam się, abyśmy nie wzbudzili podejrzenia. Jakkolwiek przekonany jestem, żeś wyższą nad materyalny interes, dla przekonania cię, jak niesprawiedliwymi są twoi rodzice, donoszę ci, najdroższa, że sprzedaż

mojego majątku przez udowodnienie nieformalności, popełnionych przy sporządzeniu tacy, szczęśliwie wstrzymałem i mam nadzieję, że jeszcze lat kilka bronić się potrafię. Tymczasem może też Bóg księdza biskupa, wuja mojego, po najdłuższem życiu do chwały swojej powoła. Najdroższa! za kilka dni moją będziesz na zawsze.

Twój do grobu

Julian.“

Ucałowawszy lubie pismo drogiego kochanka, przezorna dziewczica powierzyła je płomieniom palącego się na kominie łuczywa, a gdy pokrótce usłużna Ryfka sukienki wysuszyła i wielmożną panienkę ubrała, panna Katarzyna wedle możliwości Jankłowi i Ryfce brzęczącą monetą dziękując, przez nikogo nie postrzeżoną, wymknęła się na ogród z powrotem do mamy.

Czas leniwo dla kochanków biegał; niemniej przeto po wtorku środa, po środzie czwartek, po czwartku piątek przemijał i wreszcie pożądana zawitała sobota. W domu pana Rzeszotki na ustawianiu z Warszawy przywiezionych machoniowych mebli, na czyszczeniu koni, szorów, pojazdu, na przymierzaniu liberyi; u państwa Rozdętowiczów na rozlicznych przygotowaniach do jutrzejszej uczyty weselnej jedynego dziecięcia, zaledwo że dnia starczyło;

Kasia tymczasem, pełna trwogi, niecierpliwości i najróżnorodniejszego uczucia, co chwila spozierała na zegar i tkliwą łzą żegnała wszystkie zakątki rodzicielskiego domu, który tej nocy jeszcze, może na zawsze, opuścić miała. Gdyby nie ułudny obraz modrookiego Julisia, co się z wyrazem najgorętszej i rozpacznej miłości snuł przed jej oczami, kto wie, czy prawe uczucie córki nie przyczyniłoby się do spełnienia szczęścia pana Rzeszotko; — ale pamięć przysiąg Juliana, że ją swoją miłością uszczęśliwi, przytłumiła głos sumienia względem rodziców, ustalając dane Julisiowi słowo. W wieczór pani Rozdętowicz po przekonaniu się, że wszystko wedle jej rozkazów wypełnione, zamknęła się w swojej sypialni i kokosowem mydłem umywszy ręce, od tygodnia raz dwunasty przymierzyła przed wielkiem zwierciadłem z Warszawy przysłany czepek blondynowy z pąsowemi różami; — ale bo też ślicznie był do twarzy; — następnie obejrzała raz jeszcze morderową suknię z najmodniejszym bawetem, wydobyła z toalety długie, złote, turkusami zdobne kolczyki, wielkie korale z ubrylantowaną zapinką i emaliowany zegarek z łańcuszkiem, kilkanaście pierścionków rozmaitej wartości, atłasowe trzewiczki, ażurowe pończoszki, włosienną, wybornie odymającą spódniczkę, nowy, jak kruk czarny, szynion, pudełko z różem, białe rękawiczki i batystową chustkę do nosa, oszytą

w koronki; — a zapewniona, że na jutro wystąpi paradnie, udała się do pokoju swjej córki.

— Cóż to, Kasiu, ty już śpisz? ja chciałam jeszcze obejrzyć twoję ślubną suknię i rozmówić się z tobą, czy ci jutro przy ołtarzu płakać wypada czy nie?

Kasia z zamrużonemi oczyma milczała.

— Wyśpij się, moja córko; jutrzejszej nocy nie będzie na to czasu. — Po tych wyrazach mama już pokoik córeczki opuścić miała, kiedy przypadkowem spojrzeniem zoczyła pod łóżeczkiem leżące spore zawiniątko i futrzaną Kasi salopę.

— „Jezus Marya! domyślałam się reszty“ — w duszy wymówiła przełęczniona matka i bezzwłocznie pobiegła do męża. Jegomość z omydloną brodą, brzytwę trzymając w ręku, zabierał się właśnie do uprzątnienia drugiej połowy twardego zarostu, kiedy jejmość, blada jak trup, z rozwartemi przed nim stanęła ustami.

— Dla Boga! cóż to jest Tekluni?

— Wielkie nam grozi nieszczęście, ale mu jeszcze zaradzić można.

— W Imię Ojca i Syna — jakie nieszczęście? co się jejmości przyśniło!?

— Oto widzisz, kochany mężu, — przed chwilą przychodzę do Kasi, aby z nią o jutrzejszym ślubie pomówić, aby ją do przykrości małżeńskiego stanu przygotować....

— Co jejmość plecie, — jakie przykrości?

— Nie przerywaj mi i raczej słuchaj; gdy weszła do jej pokoju, udała, że śpi i na moje pytanie nie odpowiedziała. Już miałam spokojnie do mojej sypialni powrócić, odkładając na jutro rano rozmowę, alisci przypadkiem spostrzegłam pod jej łóżkiem zawiniątko i futrzaną salopę.

— No i cóż dalej —?... jejmość cedzi słówka jakby przez smołę....

— Jak to, więc się nie domyślasz, co się święci?

— Co jejmość gada? co się ma święcić?....

— Kręcicki dzisiaj w nocy naszą córkę wykradnie! No, teraz rozumiesz?

Na tak wyraźne orzeczenie palnął się pan Rozdętowicz całą dłonią przez czoło, jakby dla otrzeźwienia mózgu i rzekł z podziwieniem:

— „A czy to być może? ha! teraz dopiero wszystko rozumiem! A kot nie dziecko! hej! Łukaszu! Andrzeju!

— Tylko cicho; niech jegomość nie wrzeszczy; czyli chcesz, aby się Rzeszotko o wszystkim dowiedział? aby po całym sąsiedztwie o tém gadali?.... Może też i dziewczyna niewinna.... Usłuchaj mojej rady; weź ekonoma i kilku wiernych nam ludzi; — rozstaw warty na około domu i czekajmy, czy kto po nią przyjdzie czy nie. Jeżeli przyjdzie, powiesz mu pocichu „Idź precz, łotrze — wiemy o wszystkim, po ślubie méj córki z tobą się rozprawię“ i na tém dzisiaj skończyć; — a jeżeli nikt nie przyjdzie, wy-

rażny będzie dowód, że nasze podejrzenie było bezzasadne.

— Masz jejmość *racyę*; możnaby bez potrzeby skompromitować córkę i cały nasz dom; — kto wie, co to za zawiniątko i czyli to nie z winy służącej Marysi, że się salopa pod łóżko dostała.

— Tak, być to wszystko może; — ale ostrożność nie zawadzi, gdyż podejrzenie zawsze jest wielkie; — bo przypomnij sobie tylko, ile to razy zastaliśmy ją osmuconą a nigdy nam powodu smutku swojego objawić nie chciała! A pamiętasz, jak to ten list szybko na ogień wrzuciła, przy którego czytaniu zastałeś ją płaczącą? Ja pewna jestem, że Kręcicki od samego początku, jakeśmy mu w domu bywać zabronili, aż do dziś dnia do niej pisywał i że się ze sobą potajemnie widywali.

— Dosyć tego gadania! wiem co zrobić; idź jejmość do swego pokoju i czekaj cierpliwie końca, bo wierzaj mi, że Rozdętowicz głowy od samego kształtu na karku nie nosi i potrafi przedsięwziąć najdostateczniejsze środki, aby swojego pisklęcia nie wypuścić a ptasznika, na niedozwoloną mu zdobycz czyhającego, przyczłapić. — O! panie Kręcicki! mnie się z pewnością nie wykręcisz! Nie w Wielkich Krętach z żydami ale w Chawłodnie z Rozdętowiczem sprawa....

— Mężu, tylko ostróżnie, żeby przypadku nie było.

— Proszę bardzo pani do swojego pokoju, — ani słowa więcej. —

Jejmość, znając uporną popędlivość jegomości, wyszła strapiona. Pan Rozdętowicz, haftowane na kanwie pantofle wyrzuciwszy pod sufit, zazął juchtowe myśliwskie obówie, wziął na się kapotę, lisami podszytą, przewdział dubeltówkę przez plecy, z pośpiechu zamiast jesiennéj czapki pochwycił z wielkim rydelkiem od słońca nankinowy kaszkieć i zapominając niegolonéj połowy brody z bielących się mydlin obetrzyć, sążnistym krokiem przez bawialny pokój szklanemi drzwiami wybiegł do ogrodu.

Psy podwórzowe ozwały się głośno ale nagle ucięły i odtąd znów cichość głęboka panowała na około dworu. — Ścienny zegar na sali uderzył jedenastą. — Kasia nie wiedząc o tém, co zaszło w pokojach rodziców, rozumiejąc, że sobie spokojnie nocnego używają spoczynku, ubrała się pociemku, okryła się salopą i, trzymając zawiniątko pod ręką, usiadła przy oknie. Przykrém jest jakiegokolwiek rodzaju oczekiwanie, ale okropną bezwątpienia być musi ta ostatnia godzina, która nas od zamierzonego występku przedziela. Każdój sekundy w przybocznym pokoju na zegarze tyknięcie zdawało się być łoskotem śmierci dla nieposłusznój córki, a kaźden przedział minuty od minuty dla

młodej kochanki stawał się wiekiem udręczenia. — Uderzył kwadrans na dwunastą, — Kasia rzewnie zapłakała. Wybily dwa kwadranse, — Kasia usłyszała zdaleka trąbkę pocztarską i gorąco modlić się poczęła; — na koniec trzy kwadranse wybily. Kasia, drząc jak liść jesienny, otworzyła okno i lekką stopą stanęła na murawie. Wiatr zachodni przyniósł do jéj uszu ciężkie westchnienie, zaledwo trupem nie padła; ale w téj chwilę lekki, umówiony klask dłoni w stronie północnej ogrodu wzbudził jéj odwagę. — Obejrzała się po raz ostatni na ten dom, w którym na świat przyszła, w którym doznała tyle dowodów rodzicielskiej miłości, gdzie z małą przerwą całą młodość spędziła, gdzie tyle było pamiątek, chwil radości i szczęścia. Już, rozdzierającém jéj serce uczuciem tłoczona, miała się rzec zuchwałego przedsięwzięcia w chwili ostatniej, kiedy w pobliżu rozległ się nagle straszliwy wrzask i hałas, do którego miewał się piorunujący, groźny głos jéj ojca. — Że pannie Katarzynie w tak niespodzianie nieszczęśliwym a okropnym wypadku nieodzownie i koniecznie, nie tracąc chwili czasu, zemdleć, a panu Kręcickiemu z orszakiem przyjaciół przeciw zasadzce męzną obronę stawić należało, tego spodziewam się, że nikt z czytelników nie zaprzeczy. Taką téż naturalną kolejną wszystko się spełniło; — to tylko było nadnaturalném, że kochanek zamiast z kochan-

ką szczęśliwie się dostać do pojazdu, aby pośrednictwem wiatronogich dzianetów ująć przed pogonią gniewnego ojca, pan Kręcicki, ujawszy drogi ciężar na ręce, odcięty od walecznych przyjaciół, pośród zamieszania schronił się z panną Katarzyną do dobrze znanej mu lodowni.

Na sumę w sąsiedniej wiosce w parafialnym kościele dzwoniono a nikt dzisiaj z Chawłodna do kościoła nie wybierał się, bo z mężczyzn kto tylko żył, na rozkaz pański konia dosiadł i w licznych pocztach pod przywództwem wierniejszych dworskich na ściganie córki dziedzica i jej uwodziciela w rozmaite strony wyruszył. Niewiasty, trawione ciekawością, obiegły dziedziniec, a sołtys z kilku pozostałymi starcami, uzbrojony w widły i cepy, stał na warcie przed lodownią, dokąd dziedzic pochwytanych przyjaciół pana Kręcickiego zamknąć rozkazał.

Słońce już się zbliżało do zachodu a jeszcze nikogo z powrotem widać nie było; dopiero zmierzchem powrócił najprzód ekonom z 10 jeźdźcami, nieco później powrócił karbowy z czterema ludźmi, bo dwóch zginęło mu na jarmarku; — ogrodnik, podleśny i kowal zjechali się jakoś razem na drodze i przybyli w 18 koni; na ostatku panowie Rozdętowicz, Symplicyusz Rzeszotko i sąsiad Dymalski w 35 koni powrócili, ale nikt najmniejszego śladu

występnych kochanków nie powziął a jeden tylko pijany kowal zdał sprawę, iż mu na jarmarku kuma powiadała, że nad ich wsią, nad rankiem, bardzo piękny panicz i przesliczna panienka na zaczarowanej łopacie powietrzem ku Łysiej Górze lecieli. — Samo się przez się rozumie, że takowej baśni panowie nie uwierzyli i raczej skłaniali się do ogrodnika, który utrzymywał, że panienka ze swoim ulubionym kochankiem w jeziorze się utopiła, bo od czasu, jak panu Kręcickiemu pan rodzic bywać w Chawłodnie zakazał, panienka codziennie nad jeziorem się przechadzała, zapewne najgłębszego upatrując miejsca. Ten domysł potwierdziła i służąca Marysia, która zeznała, że panna Katarzyna do niej nieraz mówiła, iż prędzej się utopi aniżeli pójdzie za pana Rzeszotko. A więc jejmość w płacz straszliwy, przy którym było co niemiara wyrzutów z początku mężowi a potem i panu Rzeszotko, któren, wyciągając sobie palce ze stawów, jał rumianą twarz swoją ubierać w różne grymasy i na koniec się rozbezczał; — za nim bezzwłocznie ryknął Rozdętowicz a pani Dymalska, która od rana pani Rozdętowiczowej *desperować* dopomagała, jakby na przedętym klarynecie réj przed wszystkimi wiodła.

W tak płaczliwem zgromadzeniu dla wszelkiej przyzwoitości wypadałoby i szanownym czytelnikom zapłakać, — czego bynajmniej czułym

paniom nie zabraniając, czytelników płci męskiej do lodowni zapraszam.

Przez najdroższego Julisia do podziemnej groty uniesiona Kasia, chłodem lodu owiana, rychło do przytomności wróciła. — Dopóki uszu ich dochodził głos pana Rozdętowicza, bohaterowie romansu drżeli ze strachu; ale skoro się w ogrodzie uciszyło, przysięgi wiecznej i żadną potęgą świata nierozzerwanej miłości spłynęły z ust kochanków pośród brył lodu; — kiedy pilniejsza na ucho kochanka, nagle wydzierając się z lubego objęcia, z przerażeniem zawrzasła: „Jdą! idą!“ — Jakoż w istocie mone stąpania i hałasliwe głosy coraz się więcej do ich ukrycia zbliżały. Julian przedsięwziął bronić się do śmierci i z wielką trudnością podjęty bałwan lodu wzniosł do góry, aby nim głowę pierwszego nieprzyjaciela roztrzaskać. — Kasia błagając, aby życie jej ojca oszczędził, upadła do nóg rozjuszonego kochanka. Wtém otwierają się drzwi; przemocą 7 osób do lochu wtrącony i zaraz też same drzwi za nimi zatrzaśnięto a zakładanie kłótki najwyraźniej świadczyło, że przybysze byli nie aresztujący ale aresztowani.

— Adolffie! mnie się zdaje, że do jutra garb mi na plecach wyrośnie, tak nielitościwie palił mnie jeden z tych pacholków, gdym się już do powozu dobierał...

— Edgardzie! tyżeś to? — zawołał Julian, od-

rzucając na stronę trzymaną w swoim ręku bryłę lodu.

— Julianie! — kilka zawołało głosów.

— Cicho, cicho, przyjaciele; oni nie wiedzą, że ja się tu dotąd z moją narzeczoną schronilem.

— Jakto? i panna Katarzyna tutaj?

— Tak jest, zacni przyjaciele; widząc zdradę i przemoc, odcieyty od was, nie miałem innego środka jak tutaj przynieść zemdloną w nadziei, że po jej powrocie do zmysłów, po uciszeniu się wrzawy, rychłą odzyskamy wolność i u którego z sąsiadów konie do dalszej podróży znajdziemy, — na przypadek, gdybym się z wami nie spotkał.

— Julisiu! spotkaliśmy się rychlej aniżeli się spodziewałem; — o tém cię zaś zapewnić mogę, że szanowny ojciec twój lubej, kiedy nas tutaj odprowadzić kazał, zaklął się, że żadnego z nas 50 bizonów jutro nie minie. — Spodziewam się, że tobie w trójnasób nagrodę wydziela.

— Jakim sposobem daliście się uwięzić?

— Najnaturalniejszym; — cały ogród był obstawiony chłopami, a każdy miał w ręku kołek z płota, zapewne dębowy, bo twardy, jak cię o tém zapewnić mogę. Cóż ci mam więcej powiedzieć?

— A to jest szkaradnie!

— Żeby tylko na tém się skończyło, mniej-

sza o to, — bo po ciemku nikt nie widział, co któren z nas oberwał i jakoś blizny z pola walki nie hańbią; lecz mój miły Julisiu, jak przyjdzie jutro przy jasnym słońcu miękkiego grzbietu pod pleciony rzemień nadstawić, — wierzej mi, to będzie szkaradniej...

— Panowie! — ozwała się smutnym głosem panna Katarzyna — przebaczenie, że z mojej winy zostaliście narażeni na niebezpieczeństwo życia i że macie jeszcze doznać sromotnego obejścia... Wszakżeż nie tracę nadziei, że ojciec mój, gdy jego pierwszy gniew przeminie, potrafi zemstę swoją w przyzwoitsze ująć szranki i nie zechce się zniesławić gminnym postępkom względem swoich współobywateli.

— Dziękujemy pani za pocieszenie, — ozwał się milezący dotąd hrabicz Edgar, — ale zachodzi wielkie pytanie, czy pierwszy gniew papy dobrodzieja przed rozsądzeniem sprawy naszej czy po rozsądzeniu przeminie.

— Co do mnie, chyba mojego trupa zniesławi, — wyrzekł śmiało były porucznik gwardyi. — Zresztą, koledzy, na cóż się tutaj przyda radzić o przyszłości; — lepiej, że się zajmujemy teraźniejszością i rozumiem, że potrzeba pomyśleć o noclegu; może nam się przyśni cukrowa wieczerza, bo na jawie wszelka o niej zniknęła nadzieja. Przedewszystkiem dla panny młodej, tak zaszczytnie dzielącej naszą niedolę, zbieram składkę z sukien waszych na zrobienie

miękkiego i ciepłego posłania, bo tutaj zimno jak gdyby pod północnym biegunem, — a byłoby hańbą, gdyby panna Katarzyna pośród nas umarła.

— Za pozwoleniem jasnie panów, chybaby pierwój należało świecę zapalić.

— Jozefie! i ty tutaj?

— A gdzież mam być?..... zajęli nas z końmi i z powozami na dziedziniec, stangretów i postyliona zamknęli na lamuzie a mnie z panna hrabiego lokajem, ponieważ liberyi nie mamy, poprowadzili z panami.

— A to wybornie; prawda, że tobie oddałem zapalki i sześć świec sterynowych, które mieliśmy, wjeżdżając do lasu, w latarniach zapalić.

— Jasnie panie, tutaj się lepiej przydadzą, bo ciemno jak w miechu. — Po tych wyrazach Józef niebawem więzienie dwiema rozpalonemi świecami owidnił; — lecz jakże rozkoszne było wszystkich podziwienie, gdy na szerokiej i długiej tarcicy, przymocowanej do ściany, ujrzeli — kilkadziesiąt talerzy z galaretami, z kremem, z rozmaitemi cukrami i słodyczami, z najwytworniejszemi owocami, ciastami w tortach i w piramidach, ozdobionych cyfrą niedoszłych państwa młodych, a na domiar cudownej niespodzianki pod tym magazynem słodczy stało w dwóch poważnych

szeregach po 12 butelek omszałego węgrzyna i drugie tyle szampańskiego.

— Cóż się to znaczy? — zawołał, nie posiadając się radości, trzęsący się od zimna porucznik i jednocześnie paznogciami wydrapywał korek z pochwyconej z brzegu butelki omszałej.

— Domyślam się, — z łagodnym uśmiechem wyrzekła panna Katarzyna, — że pan Symplicusz Rzeszotko na spodziewane jutrzejsze gody cukrową kolacją mimo wiedzy rodziców moich z Warszawy sprowadził i, zniósłszy się z ogrodnikiem, tutaj ją umieścił.

— „Bravo! Bravissime! niech żyje Sympluś!“ — krzyknęli wszyscy więźniowie a hrabiec, poskoczywszy po talerz z piramidą, wyrwał z dzioba cukrowemu gołąbkowi cyfrę S. R. i o ziemię ją roztrącił, — cyfrę zaś K. R. oddał Julianowi, mówiąc: „Złamanie tej cyfry do pana młodego należy.“ — W jednej chwili przecudny zapach starego tokaju nappełnił loch cały, szampań się pienił, talerze przechodziły z ręki do ręki i nie zadługo najweselsza radość po całym rozbiegła się gronie.

Jak długo trwała uczta, zapewnić nie jestem w stanie; — to tylko pewno, że gdy w niedzielę o 10 wieczorem na powtarzane rozsądne przedstawienia pana Dymalskiego skruszony rozpaczą o życie swjej córki pan Rozdętowicz więźniów z lodowni do dworu sprowadzić

rozkazał, — wyprawion w tym celu ekonom, z najgłupszą w świecie miną do pokoju powrócił, donosząc, że 7 panów, których wczoraj w lodowni zamknął, nadto i pan Kręcicki pomiędzy mnóstwem próżnych talerzy i butelek śpią jak zabici, a że pannę Katarzynę, ubraną w płaszcz męzki i w aksamitną czapkę z rydelkiem, zastał z nagryzionym ananasem w ręku, czuwającą nad nimi.

— „Acan oszalał!“ — krzyknął z gniewem pan Rozdętowicz. — „To moja cukrowa kolacya!“ — zawołał Symplicusz. — W też chwilę wbiegła do pokoju Kasia i do nóg ojcu upadła.

Gniew rodziców, łyzy córki, prośby państwa Dymalskich, niechaj kto inny opisz; ja za uciekającym ze wstydu Symplicuszem do Gapiejowicz z pocieszeniem jadę i do Chawłodna nie powrócę, chyba za 3 tygodnie na ślub Kręcickiego, który z najfatalniejszej przygody najszczęśliwiej się wykrcił, — bo przebaczenie państwa Rozdętowiczów w najpożądanej zupełności pozyskał.

Ktokolwiek z czytelników większej części szczegółów tej powiastki za prawdę nie przyjmie, winien dać złp. 5 na dom głuchoniemych w Warszawie.

O PIORUNACH.

DWA NADZWYCZAJ PRAWDZIWE
ZDARZENIA.

O PIORUNACH.

DWA NADZWYCZAJ PRAWDZIWE ZDARZENIA.

Gdybym na własne nie słyszał uszy, nie byłbym wierzył; — przecież w mojej obecności pan Zdzisław i pan Witold następną prowadzili mowę:

Zdzisław. Noc była parna; od wschodu słońca gorąco, następnie gwałtowny upał, około południa zdawało się, że ogień z nieba leci; rośliny powędły; śpiew ptaków ucichł; zwierzę dziki w gęstych zaroślach chłodnego szukał schronienia. — Na obszernej niwie wrzeszczał rozgłośném gardłem karbowy „Dalej, dalej, żywo!” i tysiące kropel krwawego potu oblewało ciężką pracą wycieńczone ciała żniwiarzy. Niemowlęta, na utkwionych w ziemi drążkach w grubiej zawieszzone płachcie, po długim i bezskutecznym płaczu za pokarmem matczynym aniel-

skie spojżenia mimo wiedzy w niebo unosząc — wreszcie umilkły. Z po za lasu czarna wystąpiła chmura; wiatr począł się nagle wzmacniać; bezprzestanny grzmot i błyskawica okropną zapowiadały burzę. — Od wioski na spienionym koniu pędził dziedzic Tarlina, Kazimierz Rosowiecki, cudnej urody młodzieniec; — budowa jego ciała doskonałej piękności, w błękitnych oczach jakoby wrodzona śmiałość, na świeżych licach piętno zdrowia i siły, na ustach wyraz dobroci, ubiór miał lekki i bez przesady, — w ogóle dziwnie do mnie podobien. — Ledwo że pierwszych dosięgnął zagonów „Do domu! do domu!“ zawołał; — i wnet pobiegły matki, tuląc spragnione dzieci do piersi, chłopci, błogosławiąc dobremu panu, szli zwolna za niemi! — Wkrótce też potem grad pokrył pola, deszcz ulewny zaciemnił widnokrąg, — pioruny biły z przeraźliwym łoskotem. — „Ignacy! wolno; przez miłosierdzie Boskie wolno! prędką jazdą utworzone pasmo wiatru może piorun sprowadzić.“

„Proszę jegomości co rychlej, to rychlej; pod dachem będzie bezpiecznie, „odrzekł trwożliwy Ignacy. Wtém walka żywiołów zwiększyła się, ziemia zadrzała, grom i bezzwłocznie piorun w prawe tylne koło mojego pojazdu uderzył. „Kaczaj!“ krzyknął Ignacy, jam się przeżegnał, konie biegły, ile im sił starczyło. „Ignasiu! stój! stój! jeżeli Boga masz w sercu

stój! ja wysiądę.“ Ognista wstęga i dym siarczany dalszą wstrzymały prośbę, lewe od przodu koło zdruzgotane zostało w kawałki. — „Stój! stój!“ — nie, on jeszcze silniej konie zacina. Mineliśmy cegielnię, kuźnię, dyszel we wrota stajenne uderzył; — rozwarły się na roścież i na pół żywy ujrzałem się pod pożądanym przez Ignacego dachem; pojazd stracił wreszcie równowagę, wywrócił się a ja wysypałem się na ziemię.

Witold. Więc pan dobrodziej na dwóch tylko kołach wjechałeś do stajni?

Zdzisław. Tak jest, łaskawy panie, na dwóch i to na jednym tylnym i na jednym przodkowym, na lewym i na prawym, przez co równowaga zachowaną być mogła.

Witold. Dalekoż było od karczmy, gdy pierwszy uderzył piorun?

Zdzisław. Najmniej, żebym nie skłamał, ukraińskiej mili ćwierć dobra, — pocztowej była połowa, — i może jeszcze kroków kilkanaście.

Witold. Zazdroszczę panu dobrodziejowi tego wypadku; mnie, co tak bardzo lubię pioruny, jeden raz dopiero coś podobnego w życiu przytrafiło się. — Będzie temu lat pięć, gdy na łaskawy rozkaz ciotki mojej, pani Z....., do Cichostronia przyjechał. Na ś. Emilią spodziewano się gości. W lipcu nie wolno do czworonożnego strzelać zwierza, więc poszedłem na

wodne ptastwo, iżby cici na jój imieniny myśliwską zrobić niespodziankę, zwłaszcza że ciocia dobrodziejka bardzo lubiła bekasy. — Zao patrzoney we wszystko, co na dzień cały polowania jest potrzebném, wyszedłem z pałacu jeszcze przed wschodem słońca. Dzień był przepyszny; — łąki i gaje, chłodną rosą zwilżone, wydawały aromatyczną woń, którą tylko czuć ale jój opisać nie można; — o! pamiętam, cudny, boski to był poranek! Drobne ptaszyny, na lekkim skrzydle w nadpowietrzne wzbite szlaki, piękność przyrodzenia głośiły; — bocuś na niebotycznym dębje dopiero co klekotać począł; — strwożony zajęc w obrane miejsce kamieniem przypadł; — na purpurowe obłoki wtoczył się złocisty wóz słońca a wedle Kopernika ziemia raczyła się na osi w ten punkt przechylić, żem cały szkarłat wschodu zobaczył. — Nie umiał cenić tak wspaniałego widoku Tyras, wyżeł mój, bo wietrząc zwierzynę, na jezioro popłynął. Podrywa się cyranka, jedna, druga, trzecia, czwarta i dziesiąta; strzeliłem na zakręcie ich lotu, siedm spadło, pies przyniósł do nogi, przytroczyłem i idę dalej; — ale pocóż pana dobrodzieja nudzić, — przed godziną 9tą miałem przy torbie 24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków i 8 dubeltów.

Zdzisław. O! wierzę, wierzę! bo ja raz przez jedną godzinę....

Witold. Proszę nie przerywać; nie oto rzecz

idzie; gdy, mówię, 68 sztuk ubił, spocząłem na pobliskim pagórku, wyłowi rzuciłem chleba, sam napiłem się wódeczki i utrudzony pracą mimowolnie na słodko zasnąłem.

Co to jest, panie dobrodzieju, namiętność! i we śnie strzelam, morduję zwierzynę; — już nie pamiętam, ilem ja to wówczas nastrzelał, nie wiem także, jak długo poilem się słodką snu karmą, gdy mnie ciężki grzmot przebudził; — od zachodu toczy się ogniem ziejąca nawałnica, — szum ją okropny poprzedał, — wicher z korzeni rwał drzewa, piasku tumany były mi w oczy. — Nie naśladując pana dobrodzieja, któren się bałes piorunów, — przeciwnie podziwiając widok gniewnego nieba, z zachwytem przypatrywałem się, jak szybki do mnie zbliżył się uragan ognia i wody, — obnażoną pierś wystawiłem naprzeciw burzy, — roztwartemi usty połykałem wiatr, który może przed godziną o mil 30 łono mojej pieścił kochanki, — i tak poetycznym uniesion zapałem, czekam rychłoli nad moję głowę nadejdzie łoskot piorunów; — gdy wreszcie wielkości strusiego jaja krople na czoło moje upadły a wkrótce deszcz strumieniami się puścił. Panie Zdzisławie! nie uwierzysz, jaka to rozkosz widzieć wśród rozległego pola na około siebie, nad sobą i przed sobą — nic więcej tylko ulewny deszcz. Niecierpliwiłem się wprawdzie, że pioruny zdala odemnie padały; — jam pra-

gnął doświadczyć wrażenia blisko — jak najbliżej uderzającego pioruna.

Zdzisław. Istotnie Wpan Dobrodzień do bardzo śmiałych policzonych być możesz.

Witold. Jest to błędem naszej rodziny; — mój nieboszczyk stryj w czasie najgwałtowniejszej burzy zwykł wchodzić na dach swojego pałacu i trzymał się zawsze lewą ręką konduktora, aby miłego doznać wstrząśnienia w razie, gdy piorun uderzył; radzili mu to nawet lekarze na zatwardzenie wątroby.

Zdzisław. Prawdziwie osobliwszy rodzaj przyjemności i leczenia się; — ale jakżeż było wówczas na polowaniu?

Witold. Oto! kiedy złorzeczę nieżyciłowemu kierunkowi chmury, która mi żadnego nie naprowadziła pioruna, — na raz zdawało się, że ktoś wiedeńską kitajkę nad memi uszami rozdziera i, czy pan Dobrodzień uwierzysz? piorun w prawą lufę mojej strzelby uderzył!

Zdzisław. To pan dobrodzień zapewne rękę a w najszcześniejszym przypadku strzelbę utracił?

Witold. Bynajmniej; jak pan widzisz, mam ręce całe, — a ze strzelbą inaczej się stało. Lecz mówiąc dalej: — ha! pomyślałem sobie, raz przecie życzenie moje spełnionem zostało; — gdy wtém trzęsie się ziemia jak galareta, łamię się ogromne niebios sklepienie i drugi piorun wpadł w lewą lufę. Patrzę, — panewki

przywarte, proch nieporuszony, oczywiście oba dwa pioruny albo wśród pakuł albo wśród śrótu zostały, nie dotknąwszy prochu. Po nagłym burzy przelocie słońce żywszym zaświeciło promieniem i prócz kontuzyi, której u nóg moich tulący się wierny Tyras w ogon był dostał, bez najmniejszego szwanku zdrów, wesół i cały, — dźwigając 24 cyranek, 6 wielkich kaczorów, 30 krzyków, 8 dubeltów i — dwa pioruny, powróciłem do cioci.

Zdzisław. Być może, ale i wierzyć trudno.

Witold. Jeżeli pan dobrodzień pozwoliś, pokażę tę samą dubeltówkę; mam ją tutaj ze sobą, możemy nawet jeden piorun wystrzelić.

Zdzisław. Jak to? do téj chwili są jeszcze w téj fuzyi te same pioruny?...

Witold. Tak jest, panie dobrodzieju! pozwolę panu dobrodziejowi jeden wystrzelić. Héj! Janie!...

Zdzisław. Nie, nie potrzeba — ja wierzę panu dobrodziejowi co do słowa, — nie wątpię, — szkoda by było pozbawić się takiej osobliwości.

Witold. Ależ jeden tylko wystrzelimy.

Zdzisław. O nie — nie, panie Witoldzie! ja wierzę, — ja znam pioruny i wiem, że się zdarzają nadzwyczajne przypadki, którym tylko głupcy wiary dać nie chcą. — Co za szczęście, żem ja wtenczas pod Tarlinem żadnej nie miał strzelby.

Witold. Ale byłbyś, panie Zdzisławie, dwóch kół nie postradał....

Pan Zdzisław powiedział, że się zdarzają wypadki, którym głupcy wiary dać nie chcą.

Jak się komu podoba, — co do mnie, uwierzyłem zupełnie.

POMYŁKI.

POMYŁKI.

Jeden z moich sędziwych pokrewnych, któren na winotrysk chorował, przypomniiał sobie w najsroźszym bólu — mówię w najsroźszym, bom już wielokrotnie słyszał, że lubo winotrysk czyli szanowna podagra po palcach tylko łechce, to przecież sprawia cierpienia srogie, sroźsze i najsroźsze; ale wracam do rzeczy: — on tedy chory wujaszek przypomniiał sobie, że należało się ostatecznie rozmówić z panem Jerzym Rzepnickim, który życzył na być od niego prawo do spadku po ś. p. ks. biskupie K....

— Auguście, proszę Cię, bądź łaskaw odwiedzić dzisiaj p. Rzepnickiego, mieszka przy ulicy Szczyglój w domu pana Cwajera na drugiém piętrze; oświadczyć mu, że — królowo nieba i ziemi, boli! boli! aj! aj!.... że tedy ja cie-

bie upoważniam — Łukasz! dawaj świeże okładanie — do zawarcia — o jerum, jerum! a czy mnie Bóg ciężko skarał, — ugody, jaką tylko za dobrą uznasz — nie wytrzymam — przecież znasz cały stan rzeczy. — Łukasz! poproś pana konsyliarza chociaż na chwilę — od 10,000 złp. nie odstępuj — powiedz mu, iżby przyjsć raczył bo oszaleję — pieniądze są mi potrzebne, staraj się więc skończyć — czegoż stoisz dardanie? mówiłem — jerum! jerum! jerum! — proś go, aby do mnie zajrzał — więc tedy, panie Auguste, zrób, jak ci się naj-
lepiej — ssy! — wydawać będzie.

Ja do Rzepnickiego, Łukasz do doktora wyszliśmy razem.

O Szczyglą ulicę nie długom się dopytywał, ale o panu Rzepnickim nikt nie sły-
szał; nazwiska właściciela domu zapomnia-
łem na śmierć; chodzę więc i pytam od drzwi do drzwi „Czy tu nie mieszka pan Jerzy Rze-
pnicki, podobno w domu pana Tyrasa.“.....
— Nie mieszka, proszę zamknąć. — A mróz
20 stopni dochodził; — zziębły, posłyszawszy
rozmaitę grzeczności, nie osobiwie obowiązujące,
już miałem do wujaszka z niczem powracać,
kiedy jakiś pocziwy, z nieszpórów wracający
starzec, któren, lubo tępy miał słuch, ale
moje wyraźne na ucho zapytanie zrozumiał, —
z dobrocią odrzekł:

— Ha, asindzi zapewne się mylisz — to
nie pan Jerzy Rzepnicki ale pan Jerzy Bru-
kwicki mieszka w domu pana Cwajera tu na
przeciwko na pierwszém piętrze.

— Tak, tak u Cwajera, — dziękuję, bar-
dzo dziękuję.

— Za mało.

I pobiegłem do wskazanego domu, pewny, że
wujaszek z bólu nazwiska przemienił, — zwa-
sza że brukiew i rzepa są jarzyny blisko ze
sobą spokrewnione; — znałem zaś stan rzeczy
spadku po ś. p. ks. biskupie K..., ale o Rzepni-
ckim, mającym prawo wuja mojego nabywać,
słyszałem dzisiaj po raz pierwszy. — Niemyl-
nie będzie to Brukwicki, pomyślałem sobie,
dzwoniąc na 1szém piętrze.

Z wygodnego krzesła powstał na moje przy-
witanie urodziwy mężczyzna i przedewszyst-
kiem siedzieć prosił.

— Jestem Au: Wi:; przychodzę z polecenia
wuja mojego, pana stolnika Myszkowskiego, iż-
bym się z szanownym panem dobrodziejem
w wiadomym interesie rozmówił; pan stolnik,
będąc cierpiącym, nie mógł przybyć osobiście,
mnie więc do ostatecznego ukończenia upo-
waźnił.

— Ja już wczoraj ostatnią cenę podałem

i rozumiem, że pan Szczurkowski, chciałem mówić Myszkowski, jak się dowiaduję, stolnik a szanowny wuj pana dobrodzieja, uznać we mnie winien bardzo szczodrego nabywcę; — wątpię, aby kto inny więcej dać mógł. Tysiąc pięćset złp. za przedmiot nie ciekawy, potrzebujący znacznego nakładu, jest....

— Jakto? pan dobrodziej tylko 1,500 złp. dać chcesz?

— Ani grosza więcej.

— Mam polecone od 10,000 złp. nie odstępować, znajduję więc tak znaczną różnicę, że.....

— Dziesięć tysięcy! a przecież szanowny wuj pana dobrodzieja spuścił mi już za 2,000 złp.

— Chybaby się w czasie napadu bólów dzisiaj pomylił.

— O! nie wątpię, panie dobrodziej, że jest pomyłka.

Podczas naszej rozmowy w przyległym pokoju upadło dziecko pana Brukwickiego i przeobraziwie płakać poczęło; widziałem troskliwą niespokojność ojca, pożegnałem się więc i pośpieszyłem do wuja, iżby się o pomyłce w daném mi poleceniu przekonać.

Za powrotem zastałem wujaszka dobrodzieja, krzyczącego w niebogłosy; — obecny

konsyliarz zalecał cierpliwość, — Łukasz nóż owijał.

— A cóż, mówiłeś z nim? — Ośle! nie tak mocno!

— Mówilem, wujaszku dobrodziej, ale zaszła pomyłka z strony kochanego wujaszka.

— Jaka pomyłka?...

— Wujaszek dobrodziej oznaczył dzisiaj 10,000 złp. jako ilość, od której odstępować nie miałem.

— Tak jest, pozostaje mu 4,000 kapitału i trzechletnie procenta w zysku.

— Ale on twierdzi, że przedmiot nie ciekawy, że potrzeba znacznego nakładu....

— Co to nie ciekawy! — jakiego nakładu?

Doktor się oddalił; — ja widząc, że wujowi, skłonnemu do gniewu, żyły na czoło wystąpiły, nie chcąc się przyznać, że tych słów pana Brukwickiego nie zrozumiał, tak dalej rzecz improwizowałem:

— Nie ciekawy — to jest, że na tém kupnie wiele zyskać nie może, że jeszcze potrzeba ponieść wiele opłat i z tych powodów nie 2,000 złp., jak wuj dobrodziej wczoraj od niego żądałeś, ale tylko 1,500 złp. dać chce.

— Kto? co? ja 2,000 złp. żądałem? — zerwał się wujaszek na równe nogi, wyskoczył z łóżka, potknął się i upadł jak długi na ziemię. Krzyk, z bólu i ze złości pochodzący, wypełnił dom cały, — przybiegli sąsiedzi, — Łukasz trząsł się ze strachu, — jam onie-miał. Z trudnością położyliśmy chorego na łóżko, — nieboże zacięło zęby, — oczy w ślup postawiło i rozumieliśmy, że skona, kiedy nagle zawołał:

— Pisz mi natychmiast do tego łotra. — Poskoczyłem do stolika i, chwytając za pióro, byłem w pogotowiu.

— Mości Panie Rzepnicki!

— „Brukwicki“ wujaszku!

— Rzepnicki mówię, wrzasnął wujaszek i dyktował dalej — (jam przecież napisał Brukwicki):

— „Nie sądziłem nigdy, abyś, panie ssy — ssy diabli podagrę stworzyli — tak dalece pozwalał sobie uzuchwalać się w żartach, — ssy — najniegodniej do méj osoby zastosowanych. — Chęć uwiedzenia mojego siostrzeńca, którego zapewniłeś, że — ssy — nie wytrzymam, jak mi Bóg miły — tylko 2,000 złp. żądałem, wykrywa jego charakter w świetle, więcej niż niekorzystném, — bo odsłania jego nikczemność lichwiarską. — Pospieszam więc donieść panu, że nie tylko za 2,000, ale teraz i za 10,000

i za żadną cenę praw moich panu nie odstąpię. Proszę nadto zapewnić się, że przykro mi jest — ssy! — żem z panem znajomość zabrał, — ssy — od której zechciéj mnie pan uwolnić, — jak ja — ssy — pana zupełnie od niej uwalniam. — Dnia 20 Decembris 1826 r. — podpisz: Myszkowski stolnik, i niechaj Łukasz natychmiast odniesie.

Powyższy list z pominięciem wykrzykników do podagry zapieczętowałem i w przekonaniu, że wujaszek z bólu znów nazwiska blisko-brzmiące przemienia — panu Brukwickiemu odesłałem.

W godzinę powraca Łukasz z odpowiedzią.

— Czytaj, panie Augustcie, co ten błazen napisał!

— Wielmożnemu JMC. Panu Szczurkowskiemu, Stolnikowi, Wielmożnemu Panu Dobrodziejowi — w micjsu. — Omylił się co do nazwiska, uczynił to już i ustnie, gdym był u niego.

— Niechaj jeno ozdrowieję, już ja go nauczę strzedz się takich omyłek. Żeby mi się w myszą jamę schował — jak Bóg Bogiem — znajdę — o znajdę — a to mi mości dobrodziej — urwisz lada co....

Wielmożny Mości Dobrodzieju!

Napaść WM. Pana Dobrodzieja jest dla mnie niezrozumiałą, — honor mój przecież nie dozwala rzeczy téj bez żądania zadośćuczynienia pominąć; — przedsięwzię więc kroki, które go dostatecznie przekonają, że mnie bezkarnie obrażać nie wolno. — Zarzut, że *podstępnie* zapewniałem, jakobyś WM. Pan Dobrodziej wczoraj tylko 2,000 złp. żądał, dowodzi albo jego krótkiej pamięci, lub też jest skutkiem błędu źle wyrachowanych zamiarów wywyższenia wartości miernego dzieła. Ograniczam się na tych kilku wyrazach z obawy, abym w sprawiedliwém oburzeniu granic przyzwyczajenia nie przestąpił, bo tylko na drodze honorowej obrazy mego honoru poszukiwać nawykły jestem.

20/12 26

Jerzy Brukwicki.

Nie dosłyszał zapewne wujaszek nazwiska bo, podniósłszy się z leżenia, zawołał:

— A to mi beczelnik ów tedy, mości dobrodzieju, psubrat. Rzepnicki! — on jeszcze zadośćuczynienia żąda? — on o honorze bełkoce? patrzaj.... gdybym nie miał jego własnoręcznych istów, wmówiłby we mnie, mości dobrodzieju, że ja za 2,000 sprzedać chciałem. Jak Bóg Bogiem takiej beczelności nie daruję.

Jeszcze ostatni wyraz z ust wujaszka nie spłynął, otwierają się drzwi, wchodzi człowiek wysoki, chudy, z ryżym włosom, z nieśmiałym wejrzaniem lecz z grubą trzcina w ręku, u góry i u dołu okutą.

Na widok tego jegomości schwycił wujaszek za karabelę, która za łóżkiem stała i do był z pochwy i podniósł do góry, jakoby czekając na zbliżenie się zuchwalca. — Z iskrzących się oczu wujaszka wyczytałem, że o żartach nie myśli; rozumiejąc zatem, iż sprawa ta jest niebezpieczną, nie mając co lepszego — krzesło oburącz ująłem i w groźnej stanąłem postaci. Stanął i przybyły, popatrzył się na nas, lewo w tył skręcił i jednym krokiem już był u drzwi, ale go Łukasz na rozkaz swojego pana: „trzymaj“ za kołnierz i za gardło przyczłapił.

Zaprawdę, moje nieudolne pióro skreślić tego nie może, najdoskonalszy artysta dramatyczny zaledwoby tę całą grę twarzy nieszczęśliwego wyraził, jaką ryżowłosy jegomość ze silnej Łukasza dłoni wytwarzał: — oczy, śmigom wie-trznego młyna podrzeźniając, szybkiem kołem biegały; — ząb o ząb tłukł się jak na tartaku; — drgające usta chęć do mowy zdradzały, ale nieruchomy język nie przychodził w pomoc; — cienkie zaś nogi trzęsły się jak wiatrem miotana trzcina; — długie ręce cisnęły kieszeń do piersi, kieszeń papierami ładowną.

— — Więc to ja 2,000 złp. żądałem? więc waszmość jeszcze zadośćuczynienie mieć chcesz i moje mieszkanie nachodzisz? — wymówił z gniewem wujaszek i, zadziawszy na siebie ferezyą, podpierając się karabelą, do nieboraka się zbliżył. Łukasz na rozkaz pana zwolnił dłoni, — ryżowłosy ciężko odetchnął i do nóg się wuja swojego rzucił, wołając: — „weź, panie, pieniądze a daruj życie!“

— Ja twoje pieniądze! życie! — czyś panie oszalał!.... — Stawając w obronie mój własnej osoby, życia cię jeszcze pozbawiać nie myślę; — ale za najście domu, zaiste, godzien jesteś wszelkiej surowości prawa.

— A toćże ja nie nachodzę — tylko wedle przyrzeczenia przybyłem z pieniędzmi, iżby interes ukończyć.

— Po napisaniu odgrózek?.... więc i własnego listu wyprzec się zdolnym będziesz?

— Jakiego listu?....

Tu wujaszek list, co dopiero odebrany, pod nos mu przytknął.

— Panie dobrodzieju! to nie moje pismo; — to pan Brukwicki, właściciel księgarni w tymże, co i ja, domu mieszkający, ośmielił się wielmożnemu panu dobrodziejowi ubliżyć.

Wujaszek spojrzał na podpis, — jam zadrdzał. Rzecz się wyjaśniła, — niestety! dla pana Rzepnickiego nieco za późno. Tysiące

przez stolnika uścisków, przepraszania zastąpiło gorliwą służbistość Łukasza.

W godzinę potem wujaszek, zapominając podagry, na klęczkach niemal pił za zdrowie niesłusznie pokrzywdzonego. Rejent spisywał przelew praw stolnika za sumę 9,000 złp. na rzecz pana Rzepnickiego z całkowitego spadku po ś. p. ks. biskupie K...., jaki dla Myszkowskiego przypadał, — a przezemnie uproszony na świadka podwójnej zgody a do trzeciej osobie należący Brukwicki zanosił się od śniechu, że autora Szczurkowskiego za stolnika Myszkowskiego pomieniał. Jam był głównie całego zamieszania przyczyną; — za karę więc posłano mnie i po autora. Znalazłem go szczęśliwie, nie dał się długo prosić, — i późno w noc Brukwicki i Rzepnicki, Myszkowski i Szczurkowski i dzielny w podobnej okoliczności rejent N.... pomyłkę moją w starym węgrzynie uwielbiali; — dopomagałem, ile sił młodzińczych starczyło.

UŁAMEK ZE STARÉJ GAWĘDY.

„Trafił frant na franta
I wyrznął mu kuranta.“

(Z dawnéj tragedyi).

Nie płacz, Marysiu! a toćże on z żoną
i z maluczką druchną twoją dobił się żyw i cały
w spokojne, a jak donoszą w książce, uchronie
i pono mu do śmierci biedy nie będzie.

— Więc z pewnością wuj nasz królewskie
dziecię w żłobie znalazł? *)

— Moja córko! i Dzieciątko Jezus w żłobie
łożonéin było. Kto wie, może téż i królewnie
za to niemowlęce tułactwo Bóg świetną przy-
szłość przeznaczył i po długim życiu do chwały
ją swojej zawezwie.

*) Jest tu mowa o Maryi, córce Stanisława Leszczyńskiego, pó-
źniej żonie Ludwika XV, króla fr., którą w ucieczce z przyczyny
nagłego napadu jazdy nieprzyjacielskiej wpośród trwogi i pospie-
chu z żłobu, gdzie maleńka jeszcze podówczas w poduszcze zło-

— Ojcie, powiedzcie, ażali to prawda, że król był tak miłego oblicza, iż patrząc się na niego, ledwie że serce nie wyskoczyło...

— Już tego i poganin nie zaprzeczy, rybenko, że nasz Leszczyński ślicznością osoby swojej jaśniał pomiędzy panami jak księżyc na nowiu wpośród gwiazd pomniejszych; — a pod czaszką mądrość a w piersi miał poczciwość. — Bóg daj! aby ten Sas chocia w części był mu podobien.

I rzewnie stary szlachcic płakać począł a matka do córki rzekła: „Także aspanna nie ma co lepszego robić jeno rodzica smucić spomnieniem naszego pana.“

— Jejmość nie strofuj mi dziecka; Marychna wie dobrze, że ojeu najmilej, kiedy o królu jegomości mówić może; a czyliż to nie król Leszczyński, który nam przywrócił rodzinne sioło, — wszakżeż wszystko, co posiadamy, jemu winni jesteśmy, — ba! nawet i ten sygnet jego jest darem.

zoną była, wziąć zapomniano. Dopiero po ujechaniu pół mili spostrzega królowa, że jej najmilsze jedyne dziecię pozostało w stajni. Płacz i rozpacz królowej granic nie znały; Kazimierz Borzęcki, jeden z obywateli województwa poznańskiego, któren do orszaku straży należał, zawraca konia, wbiega do napelnionej dragonami nieprzyjacielskimi stajni, porywa śpiącą Marynię i szczęśliwie z nią do matki powraca. Poniatowskiemu czyn ten wielu przypisuje; z papierów przecież prababki mojej przekonałem się, że rzeczywiście Borzęcki był tym szlachetnym i odważnym zbawcą dziecięcia.

Sędziwy Borzęcki ucałował na palcu swoim rzadkiej piękności krwawnik suto, w czyste złoto objęty i, otarłszy zroszone powieki, w następujące odezwał się słowa:

— Kiedyśmy naonczas z wojewodą poznańskim do Warszawy jechali, dwór cały poszedł przodem, iżby na nas w Pyzdrach noclegiem czekać; — mnie jeno pan wojewoda w swojej kolasie zatrzymał, mieliśmy bowiem niespodzianie odwiedzić po drodze brata matki twojej, pana Boleszę, którego pan wojewoda serdecznie miłował; — aliści w Środzie zawiadomił nas pan Krzycki, że Bolesza dniem pierwój do stolicy się udał, — zaczęm upraszał, abyśmy u niego obiadek szlachecki spożyli. Ale że u pana Krzyckiego nie po szlachecku ino po pańsku było, więc zmierzch już zapadł, gdy pan wojewoda, wyprosiwszy się od ostatniego kielicha, w dalszą się puścił podróż.

Z mocnego drzymania zbudził nas hajduk Piotrowski nie bardzo miłym doniesieniem, żeśmy zabłądzili. Pan wojewoda, któren miał wiele przenikliwości, obejrzał się po lesie, miarkował się po gwiazdach i kazał jechać drożyną na prawo, mówiąc: Leszczyńscy na lewo nigdy nie jeżdżą. — I Bóg myśl dobrą przyjął łaskawie, bośmy za chwilę karczmę nad polem ujrzeni, pełno jasności w oknach mającą. Wybiegł do nas żydek z rudą brodą, w czarnym łapserdaku i nizko się kłaniając, zapraszał na nocleg.

— Daleko ztąd do Pyzdr?

— Tak daleko jak do Środy — jedna droga, dobreńi końmi za 4 godziny dojedzie, ale najgorzej, że jest mylne jechanie.

— Ha! cóż począć, trudno po nocy biesów gonić! nocujmy, panie bracie — rzekł wojewoda a jam na to chętnie przystał, bo mnie za katy sen morzył.

W izbie karczemnej był jakiś wojskowy graf saski, — na piernatach spał już na dobre Niemiec, ale jego kalwakata, składająca się po większej części z szlachty Mazurów, osiadła do koła piec i komin a popijając miodek niezgorszego zapachu, z cicha gwarzyli. — Proszę waszmość, panów braci, zrobić nieco miejsca dla pana wojewody poznańskiego — do najbliższych moje mowę obróciłem; — lecz owe capy nie tylko że się z miejsca nie ruszyły, ale jeden z nich rubasznym głosem odpowiedział: „Pan poznański usiedział się w podróży, a że i młody*), może się też trochę i po izbie przechodzić,“ — i całą chmarą rozśmiali się na głos, aż się niemiecki graf obudził. Spojrzałem się na kord i byłbym ich, mospanie, niebawem *mores* nauczył,

*) Leszczyński w młodym bardzo wieku został wojewodą, o co się szpakowata szlachta mocno sierzdiła, mawiając „A tożże jemu do szkół jeszcze chodzić.“ Stanisław Leszczyński urodził się we Lwowie 20 października 1677 r. W skutek zgorzałych na nim sukien umarł r. 1766 21 lutego, mając lat 89.

ale pomiarkował wojewoda moje chcenie, bo schwyciwszy mnie za rękę, szepnął mi na ucho: „Daj waszmość pokój; nie przystałoby dla mnie, abym po karczmach wojował.“ Koreciło mnie straszliwie, że się te drwale rozsiadły przed ogniem, a zdałoby się panu wojewodzie ogrzać, bo go wiatr mroźny po nosie i po uszach sro-dze otrzepał; — co do mnie, twardszego lica, anim pamiętał, że Gumprecht w Poznaniu 20 stopni mrozu obznajnił. — Przecież ja was tu zażyję, — pomyślałem sobie, — nie próżno! Jezuici zwali mnie figlarzem; zagadałem więc do arendarza — Masz żydku jaja?

— Mam, jaśnie panie.

— A będzie ich kupa?

— Będzie 2 mędle.

— Owóż tedy wbijesz je na słoninę i zanie-siesz dla naszych koni.

— Dla koni?

— A przecież nie dla psów, bo psiarni za sobą nie prowadzimy.

— Bez urazy jw. pana, to pańskie konie jajkami się popasają?

— Czyś, żydzie, nie słyszał, że perskim ogie-rom należy przed owsem dać świeżych jaj, na słoninę wbitych?

— Przyznam się jw. panu, że, jak żywie, o tém nie słyszałem; — ale ja nie mam słoniny.

— A to weź gęsięj tłustości. — Mazury

wywalili na wierzch oczy, jakby mnie niemi pożreć chcieli; skoczyło, mosanie, kilku do stajni, za nimi drudzy i w mgnieniu oka żaden się w izbie nie został.

Wtedy rozpostarłszy obszerną burkę dla wojewody, zrobiłem mu wygodne i przyzwoite siedzenie przy piecu, sam przy kominie doglądałem żydówki, iżby porządnie jaja usmażyła, co też i nie wiele czasu zabrało.

— Ojcie! a masztalerze nie powiedzieli Mazurom, że konie pana wojewody jaj nie jedzą?

— Nie powiedzieli, bom pierwój Piotrowskiego pouczył, co czynić mają, jak się do stajni Mazury zbiegną. Ale tymczasem tedy mówiąc dalej — wyniosła żydówka do stajni na cynowym półmisku owe smażone jaja. Mazury otoczyli żłób, żydówięta powłaziły na drabiny, aby się lepiej przyglądać mogły, arendarz dwie latarnie zapalił i już zmęczone konie mieli jaja mi częstować, gdy się któremuś z nich przypomniało, aby na to widowisko i saskiego grafa zawezwać.

Zawiadomiony o tém Niemiec nie chciał wierzyć, iżby konie smażone jaja jeść miały; ale gdy mu się starszy Mazur na Matkę częstochowską zaklął, że istotnie konie wojewody jaja jeść będą, podniósł się i pan graf z leżenia, włożył na się wątowny tołubek, na nogi wycięte u pięty trzewiczki, głowę otulił białym

bawełnianym woreczkiem, na którego śpiczastym końcu maleńki sterczał kutasik, — u Niemców, mosanie, nazywają takie nagłowice *szlafmyc**) — i tak wystrojony poszedł także na widowisko.

Pan wojewoda śmiał się do woli lecz zarazem straszył mnie, że, skoro Mazury do izby powrócą, zły koniec będzie. Gdy się wojewody o radę pytam, jakaby obronę na zarzuty zwiedzionych Mazurów stawić, ukazał się Piotrowski z płaczem, że konie zapewne z przepędzenia zachorowały, bo jaj jeść nie chcą. Powrócili i widzowie, utyskując nad słabością koni a bardziej na tém, że oglądania niesłyszanój osobliwości pozbawieni zostali. I dopiero gdy ja onę jajecznicę zmiotł z półmiska, wąsy otarł i roześmiał się, pan graf wyrzekł: „Filuta szlacheć poznański!“ — Panie bracie! że my głupcy, to my głupcy! — ozwał się starszy Mazur, — począł mi się z podelba przypatrywać i już się zbierał do groźnej odezwy, gdy pan wojewoda na arendarza zawołał „Żydku! dać tu 6 garncy miodu dla panów braci szlachte!“ — zdejmując zaś z serdecznego palca ten oto sygnet, powiedział: — „A to, waszmość pan, żeś udatnym fortelem honor młodego wojewody

*) Nasi naddziadowie nie znali ani szlafroków ani pantofli ani *szlafmyc*, dla tego to dziadek mojej matki tak obszernie *szlafmyc* opisywał.

utrzymał, na pamiątkę życzliwym dla mnie afektem przyjąć zechcesz."

Dano smacznego miodu, wypili wszyscy w braterskim kole za zdrowie pana poznańskiego wojewody i w świętej zgodzie udaliśmy się na spoczynek.

GODZINA ZIMY.

GODZINA ZIMY.

- To więc kadrylem nazywają?
- Kadrylem.
- I czy naumyślnie tak piękne dobrali istoty?
- Naumyślnie.
- Cóż wyobraża ta pani w czarnym akşamicie z diamentowym księżycem?
- Noc.
- Z kimże noc rozmawia?
- Z południem.
- Ach przesłiczne jest południe!... ta różnobarbność drogich kamieni, w złotą uwieczoną tkankę, cudny czyni odbłask, zachwycający sprawia widok i wdzięczną stanowi zgodność.
- Ale do kogoż należą ot! tamte drobne nóżki w starożytnych Rzymian obówiu?
- Do jesieni.
- A te błyszczące oczy czyjąż własnością?
- Wiosny.
- A obok?
- Które obok?

— To w szkarłatnym przezroczystym ubraniu z łabędziami przy barkach skrzydłami?

— Wschód słońca.

— Daruj, że cię moją niewiadomością utrudzam; co znaczy ten rój motylków, któren zdaje się być honorową służbą, dla wschodu słońca przeznaczoną?

— Dwojako mogę ci wytłumaczyć, — pierwsze są to godziny, — powtórę są to najszlachetniejszych rodzin dziewicze córki, dzisiaj dobrowolny orszak dla księżniczki Wandy w dniu jej urodzin.

— Jeszcze jedno pytanie; — w króciuchnym, białym atłasie z srebrzystym puszkim w około, z takimże kołpaczkiem, perłami ozdobnym, jasnowłose, płomiennego spojrzenia, polotne, najwdzięczniejszej skromności, uroczę dziewczątko...

— Mówisz z zapalem, — na pochwałę zimy mniej ognia potrzeba.

— Zima!... zamienię ją w wiosnę mojego życia.

I po tych wyrazach dwudziesto-letni Ildefonsik pobiegł do zimy i począł szczebiotać, a ona poczęła gruchać i skrasili się uśmiechem i spojrzeli miłe po sobie, w ziemię oczy rzucili i znów po sobie spojrzeli i splekli rączki i puścili się w ogromne koło zamętnego walca.

Podczas wspaniałej uczty gdy księżniczka, wschód słońca, czarownemi otoczona godzinami, w towarzystwie dostojnego ojca z kolei do każdej

zbliżała się damy, iżby za wniesiony na jej zdrowie toast dotknięciem kieliszka dziękować, — Ildefonsik spostrzegłszy pomiędzy godzinami i zimę, z dziwną naiwnością przyłączył się do orszaku.

Tegoż wieczora Ildefonsik przez swoich przyjaciół godziną zimy nazwanym został.

Ildefonsik był rad z tej nazwy.

Świetny bal u księstwa Radziwiłłów skończył się nad ranem. Ildefonsik w powrocie do domu ścisnął mię przez całą drogę, wołając: — „Jestem godziną zimy, jestem godziną zimy!“

W kilka dni później Ildefonsik, pełen radości i rozkwilającego uniesienia opowiadał mi, że był u rodziców zimy, — że, lubo go rodzice nie nazbyt mile przyjęli, przecież panna (zima) swoje godzinę życzliwem udarowała oczkiem; — że jest pewnym zwycięstwa... i t. d. W końcu na wszystkie Bogi mnie zaklął i prosił, abym mu list do zimy napisał. Naprawdę przedstawiłem niewłaściwość takiego postępowania i zbyt-niego pospiechu, wszelkie w tej mierze orzeczenia były bezskuteczne, bo Ildefonsik wiecznym małżeństwa węzłem z zimą połączyć się nie tylko zapragnął, ale jako niecofniony zamiar stanowczo oznaczył.

— Trudna rada, — na upor nie masz lekarstwa; a więc żeń się Ildefonsiku, pomimo żeś jeszcze z dzieciństwa nie wyrósł; — żeń się z zimą, lecz pamiętaj, żebyś zawczasie nie stopniał. —

Przeznaczeniem naszym jest ród człeczny propagować i krzewić; — jednakże, aby to było najpospieszniejszym życia celem, nie zdaje mi się. — I jakież to list mieć żądasz?

— Prosiłbym cię o ogniste wyrażenie mojej miłości; wystaw, że bez zimy żyć nie mogę, że...

— Już wiem — podaj mi sygaro, — sponuje. — Mając w ów dzień wiele do czynienia, pospieszném i posuwistém piórem raczej z pustoty a bynajmniej nie w myśli, iżby pismo to na użytek służyło, palnąłem dosłownie, co następuje:

Pani!

Śnieżnym połyskiem Twych wdzięków na burzę afrykańskich uczuć rzucony, — szatą pielgrzyma miłości odziany, stawam przed Tobą, ubóstwiona czarodziejko! po wyrocznię najśłodszego na ziemi obłędu, co zawiódłszy me serce w krainę anielskiego marzenia, zwodniczą nadzieją ludzi, niweczy, kojarzy i w nicość najwznioslejsze bezdroże srogich duszy udręczeń zamienia. Pani! ja ufam potędze Twojego serca, samobójczą dłonią z męskiej piersi własne jestestwo wydzieram i krwią zbryzgane rzucam na stopnie ołtarza miłości. Ido! droga Ido! na niepewności i rozpaczy cytrze, na czarownym arkadyjskich pasterzy flecie, wylewam pieśń mojej boleści, nadziei i żarliwej trwogi. — Precz czarne głowożmijnych obrazów złudzenie! precz

mary piekielne! precz znamię wiarołomnej czułości! — kwiatem niezapomnienia umajona zimo! jam twój do śmierci.

Ildefons, Godzina zimy.

Kreśliłem w Poznaniu o 12 z północy.

Szczęśliwszy nad wszelkie wyrażenie kochanek znalazł list cały od A. aż do Z. nadzwyczaj pięknym, unosił się nad moją zdolnością, nie mógł pojąć, w jaki sposób tak trafnie, tak silnie jego namiętną odgadłem duszę; — na twarzy zajaśniała radość, w oku łza błysła i z drżeniem ust najszczerzej wymówił: „Auguście! ja ci tego do grobowej nie zapomnę deski!“

— Mniejsza o to — odrzekłem -- ale czy istotnie odeślesz?

— Dzisiaj, zaraz, natychmiast; — nie wiem tylko na jakim papierze odpisać?

— Trudny wybór, — to jest sęk właśnie!... kolor biały oznacza niewinność, — różowy miłość, — niebieski stałość, [żółty zazdrość; — nie źle-by było, gdybyś mógł te wszystkie kolory połączyć, — bo kochanek i niewinnym i miłosnym i stałym i zazdrosnym być winien.

— Prawda!

— Umiesz malować?

— Umiem.

— Odmaluj więc szlaczek z rzeczonych kolorów w kształcie okalającej girlandy, — można zaś tę girlandę wielkiem sercem zakończyć

a w środku serca umieścisz: „Ildefons, Godzina zimy“ — i będzie ładnie i stósownie.

Uścisk serdeczny był niemą ale najwymowniejszą, najżywszą wdzięczności odpowiedzią.

Poczem zamiast czarnego kapelusza, w którym był przyszedł, pochwycił mój biały, — aż po nos nakrył nim małą główkę i pędem strzali wyleciał. — Kiedyż go znowu zobaczę?

* * *

Na popasie w Białobrzegach po nad Pilicą, straciwszy znakomitą część wybornie sporządzonej huzarskiej pieczeni, gdy moje bronowłoki jeszcze wszystkich ziarn wydzielonego im owsa nie policzyły, udałem się na miasto, — i oparty o poręcz mostu, patrzyłem na prąd rzeki, na blizkie tło ciemnego lasu, na zielone pobraża, — i wspomnienia lat szczęśliwych razem ze łzami w oku przybiegły. Krągłych roczków już czwarty krzyżyk niezrotnym polotem ubieżał, — a każda chwila przeszłości niemal od kolebki wiernie na pamięć dążyła: — i pełzanie na czworakach, i igraszki małego chłopczyka, i swawole studenta, i wielka wiedza upragnionej emancypacji młodzieńca, różnobarbnym kobiercem rozpostarły się przed duszą. Wśród tysiąca obrazów stanął i obraz Ildefonsa. — „Cóż się też dzieje z Godziną zimy?...“ jeszcze tej myśli następne nie usunęło wspomnienie, kiedy na most odkryta wjechała bryka. Dwa chude konie pilno poganiał woźnica — naszywana kirezya świadczyła,

że podróżni w Krakowskie wracają; — pomiędzy deszczulkami, które wysoko wysłane siedzenie w równowadze utrzymywały, drzymał panicz jasnego włosa. — Jaw czy sen?... „Godzina zimy!“ krzyknąłem. — Ildefonsik ocknął się i wielkimi na mnie wejrzał oczyma i nie czekając, ażby Jasio bieguny zatrzymał, zeskoczył z bryki i objął mnie swojemi ramionami i wołał: „Godzina zimy! Godzina zimy!“

W Radomiu, w zajezdnym domu pana Kozłubskiego dwa łóżka stały do siebie przysunięte; na jednym leżał z lulką w ustach mężczyzna czarnego zarostu, krótkiej miary, dobrej karmy, dziobaty, ze spojrzeniem przyjaznym; — na drugiem łóżku siedział kołdrą osłonięty Ildefonsik i o dziesiątej z wieczora tak prawić począł:

— Nie wiem, czy skutkiem tego, że w szkołach uczyć się nie chciałem, lubli też z przyczyny słabego w głowiznie organizmu, dosyć że, jak ci wiadomo, rozum mój długo zostawał w małoletności. — Nie tak sądziła najdroższa matka moja; — nie tak pochlebiający mi opiekun, któren, Panie świeć nad duszą jego, prędkiego pokwitowania z nienajosobliwszej rzetelności gorąco pragnął, — bo gdym w trzeciej klasie dwa lata przedukwiał, mama wyrzekła, że wystarczy tych nauk na obywatela, — a opiekun nadto radził, bym się wcześniej ożenił.

— Zapewne aby na twoim pogrzebie powiedzieć można: „Urodził się, ożenili go i umarł.“

— Być może, że jemu szło o takową dla mnie sławę. — A więc za ich wspólną zgodą, licząc lat 20 nie spełna, usamowolniony zostałem. Oddano mi dwie wioski bez długu, obwieziono mnie w sąsiedztwie na sześć mil w około i kazano się rządzić grzecznie i w dobrym tonie. W ten sposób na świat puszczony, nie pilniejszego nie wiedziałem przed sobą, jak czworokonnym powozem jechać do Poznania, naśmiewać się z moich niegdyś współuczniów, co się jeszcze nad łaciną i nad nudnemi matematyki twierdzeniami, wnioskami, zagadnieniami męczyli, — śmiało zajrzeć w oczy ganiących mnie niedawno nauczycieli, — zrobić przegląd młodych panien, pokazać się szumnie, ostro, chwacko, — to było głosem méj dziecinnéj duszy. I udało się niezgorzėj: — gimnazyści z książkami pod pachą zazdrościli, — starsi raczyli się odkłonić, — dziewczęta przyznały mi dostojność miłego kawalera. — W owym to czasie byłem z cicią moją, hrabiną, na świetnym balu u księstwa Radziwiłłów, — poznałem zimę. — Tyś na żart list napisał, jam go jako mniemany arcy-utwór na doprawdy odesłał i — byłem szczęśliwy.

— Cóż zima odpowiedziała?

— Posłuchaj, opowiem: — podług twéj rady zrobiłem girlandę z niewinności, miłości, stałości i zazdrości, — list odpisałem co

do słowa, serce odmalowałem w kolorze wiśniowo-cynamonowym, na którego szczycie z własnego konceptu ponsowy płomień umieściłem, — krwią zaś z serdecznego palca podpisałem:

„*Ildefons, Godzina zimy.*“

— Wybornie!

— Tak mi się téż zdawało; — rozumiałem, że tym listem mógłbym nie tylko serce zimy zniewolić ale i cały ród niewieści zakochanym we mnie uczynić. — Służący pułkownika wzbraśniał się nieco, lecz gdy mu kilka dukatów w garść wcisnął, — obwieś spojrzął się na złoto i przyrzekł, że o szaréj godzinie pannie Idzie i papier i karmelki doręczy.

— Więc były i karmelki?

— Jakżeś chciał, abym ja, co tyle lubiłem karmelki, bez karmelków list do kochanki odsyłał.

— Ciekawy jestem końca...

— I jam był ciekawy; wszakżeż nie spodziewałem się bynajmniej, aby się stał tragi-komedyą. — Nazajutrz raniuteńko pobiegłem na Topolową ulicę i godzinę dobrą czekałem, zanim lokaj do mnie wyszedł.

— Oddałeś? — Oddałem. — I cóż? — Złe się, panie, stało, — i o mało żem służby nie stracił. Panna Ida i list i cukierki odniosła do rodziców; jegomość straszliwie się gniewał, jejmość się śmiała, — a narzeczony panny —

Co mówisz — narzeczony!... — Tak panie, bo właśnie list pański trafił na zaręczyny panny Idy z majorem.

— Jestem zgubiony! wrzasnąłem, posłyszawszy tak okropną wiadomość. — Do reszty mnie zas zabił nikezemnik, gdy w końcu opowiedział, że list mój po trzykroć głośno przy wieczery czytali, — że pan pułkownik kazał mi oddać karmelki i oświadczyć zarazem, abym do szkół na lat kilka jeszcze powrócił. — W południe napisałem drugi list, zniósłszy się w tej mierze z Narcysem O. — Wyzwałem na pojedynek pułkownika, majora i brata Idy, podchorążego od ułanów.

— Przez Boga! trzech na raz zgładzić chciałeś?

— Jabył był natenczas cały świat wymordował; przez 3 dni chędożyłem pistolety, ostrzyłem miecze, lałem kule, skupowałem szpady, — zgoła moje mieszkanie zamieniło się w zbrojownię. — Na wspomnienie zdrajczyny zimy serce się lodem ścinało, krew galopem po żyłach krążąc, to uderzała do głowy, to biła na piersi, — a moi rówieśnicy wieku przy piniącym się szampanie przysięgli, że pugiłami zniewagi mojej się pomszczą!...

— Zatrważasz mnie, Ildefonsie!...

— Nie lękaj się; przyjechała mama, rzecz się w dobroci skończyła, tylko z moimi zamówionymi świadkami i sekundantami jakies nie miłe w gimnazjum miano rozprawy.

— Bóg! laskaw, że się nie skończyło gorzej: — ależ dalsze twoje dzieje?...

— Moje dzieje! zupełnie podobne do wstępu! Miłość i miłość, — tylko forma przy każdym wypadku odmienna. Tu wodewil, miejsce widowiska pośród ładnej chatki, przy śpiewach i tańcach; w polu pasterki, baranki, — wszystko znika i pozostają wspomnienia. Następnie tragedia w murach starego domu, gdzie kochanka mdleje a stare ciotki płaczą. — Niezadługo komedia: scena w mieście, — klucz od skarbcza przy opiece a skarb sam okienko otwiera i srebrne rączki wyciąga. — Potem drama, w której panna kocha mnie szalenie, ale narzeczony rodzicielski, — patrz, diabelnie mnie szablą zamalował po twarzy. W przestanku na rozrywkę był romans chiński w trzech wielkich tomach: — ja się czaję, zbieram wiadomości, lekko wchodzę do domu; — rodzice poważni, — ojciec brwiami nie rusza, matka głową nie kiwa a jednak grzeczni; panna ciągle patrzy w ziemię i oczu ku mnie podnieść się lęka, bo wie o tém doskonale, że ja jestem tygrys, który krwią się żywi; — nadzieje ciągle wielkie, zapas wiadomości okropny, — koniec powieści jak każdy — z niczego nic — boć i z niczego pan Bóg świat stworzył. — Otóż znów opera: ojciec stary śpiewa basem, matka tenorem, ciotka jak przedęte fleciki, — kochanka jak Niema z Portici a ja ze wszystkich najcieniej, — i na za-

kończenie porywają mnie diabli do piekła, — diabli przebrani w łasperdaki, manele, krymki, z weksłami w rękę. — I nagle wszystko znika, panny, wdowy, rozwódki, dramata, romanse, — i ja sam zostałem ze świętą golizną, — i wiesz, co robię? — oto na tym małym wózku, parą szkapami, wlokę się do Nimfy aż pod Sandomierz, do panny Teresy. — I to jest ostatnia karta moich dziejów; szkoda, że od niej nie zaczął.

— A to co znowu?

— Pocziwa kobiecina! worek piękny! liczy lat 30, nie mniej ale może więcej, rozumu pod dostatkiem, kocha mnie zaś z zawiązanymi oczyma.

— Więc się żenisz?... i jakżeż się to stało?

— Braciszku! wszystko przez swaty; — odstąpiłem od posagu dziesięć od sta na moje dobrodziejki, nie żałowały gęby, — a ja pan! — rozumiesz mnie?... pan!... Guciu!... Jutro pojedziesz zemną, proszę cię na ślub i na wszystkie następne uroczystości; — jestem najszcześliwszy z ludzi — a teraz...

Nie dokończywszy — ziewnął — i usnął.

PRZYGODA NIEZGORSZA.

PRZYGODA NIEZGORSZA*).

Przed kilkunastu laty jeszcze włościanin z okolic Gniezna, Poznania, a raczej od granic Szląska aż po Notę niczem się w rodowym charakterze od Mazurów, od Krakowianów nie różnił, chyba odmienną wymową niektórych wyrazów i pomniejszemi prowincjonalizmami. Tło serca było i jest jedno i to samo. — Ścisły spostrzegacz mógł przecież odkryć, że lud wielkopolski od małopolskiego większą do szlachty miał poufałość; — pochodziło to ztąd zapewne, że Wielkopole od najdawniejszych czasów nigdy ani na chwilę poddaństwa nie znali, to jest nigdy własnością szlachty nie byli.

*) Treść główna Przygody Niezgorszej jest przez wielu za własne zdarzenie opowiadana; — zarzut jednakże: „za panią matką pacierz” mnie dotyczyć nie może, ponieważ rzeczywiście zmuszony byłem godzin 12 oberka na skrzypicy wyrzynać; a jeżeli się to i innym przytrafiło, udowodnia tylko, że nie ja jeden tylko oberka wyrzynać umiem i że nie jedno pijane chłopskie wesele o grajka w kłopotcie było. A rzekłby kto, że dawne dzieje odgrzewam, z pokorą odpowiem: „Przepraszam, ale gdy obecnie tak mało o chłopkach naszych pisują, na zbyt wielki gniew pański z moją skromną ramotką nie zasługuję, boć i przypomnienie znanych rzeczy miłém być winno, kiedy przedmiot dla niejednego serca jest drogi.

Dzisiaj w skutek zniesienia pańszczyzny oczyszczony gospodarz owym dawniejszym chłopem być przestał; jego uczucie jakoby siłą elektryczną przedzierzgnęło się w świat nowy, — karczemne, wódczane zabawy mniej więcej są już obcemi dla tych szczęśliwych ludzi. — Ale ja mówię o czasach dawniejszych i składam dowód owej dawniejszej Wielkopolanów poufałości.

Panna Aspazya czy Hortensya, — już dobrze nie pamiętam, która z łaskawych, — raczyła odemnie w sposób pośredni ale wyraźny zażądać, iżbym był bezzawodnie w ostatni wtorek na reducie w Szamotułach. Przyrzekłem lekkomyślnie, zapominając, żem o mil 20 od Szamotuł na niedzielę przedwtorkową zamówiony na piknik, gdzie uroczą czarnobrewą dziewczica moją Krakowianką być miała.

Należało więc i blondynce i brunetce słowa dotrzymać; należało być i na pikniku i na reducie. Rącości kawalerskiej czwórki zaufałem, na nieprzewidziane przeszkody bynajmniej nie licząc.

Ostatnie 3 dni zapustu zbliżyły się; po sobocie zawitała niedziela przedpopielcowa, ów dzień, otwierający pożądany wir tanców. Minęła niedziela, piknik się ukończył a lubo serce moje u czarnobrewą dziewczycę zostało, nie zapomniałem przecież o Szamotułach. — W poniedziałek późno z południa siadam do koczka i zapewniony przez dziarskiego Jasia, że nazajutrz

przed wieczorem w Szamotułach staniemy, słodkim ubiegłej chwili marzeniom oddaję się i błędzę myślami i przywołuję na pamięć każde słowo Krakowianki i złorzeczę Szamotułom i jadę i jadę i anim nie spostrzegł, żeśmy pięć mil ujechali. Jasio konie zatrzymał, Edwin koczyk otworzył. — „Panie, potrzeba popaść,“ — ozwał się Jasio.

— Dobrze — odrzekłem, — tylko nie długo.

— Będziemy, panie, na czas w Szamotułach.

Ogromna karczma wrzała krzykiem pijanych parobków; — na skrzypcach jakoby z podziemia obertas słyszeć się dawał, a śpiewki i śmiechy uzupełniały weselną zabawę. W dostatnim płaszczu wtoczyłem się do izby. Kilku sędziwych chłopów skłoniło mi się, młodszy śmiało w oczy spojrzeli i krzykali i hulali. — Nie zadługo pan młody z swoją nowozaślubioną w towarzystwie drużby stawają przedemną, prosząc, bym ich poczęstnem nie wzgardził; — jakoż przyniesiono mi gorzałki, miodem zaprawnej, i kęs kołacza. — „Za pomyślność waszą!“ — i wypróżniłem z narodowego nałogu gościnności podany mi kieliszek. — Tu nastąpiły ukłony, chwytania za nogi, w końcu prosby, abym z panną młodą przetańczył. Nie jako zwolennik obertasów ale jako z całej duszy przyjaciół wiejskiego ludu zdjąłem płaszcz i bez namysłu dalej w kółko. — Trzy czy cztery razy minęliśmy komin i podziękowałem méj chożej, jak leśna jagoda czerstwój, jak polny

kwiat nadobnej taneczniczki. Sądząc, że się całkowicie wywiązał z obowiązku, wracam do płaszcza; alisci zastępują druchny panny młodej, żądając także tańcowania zemną. Widzę, że się zachaczył, — trudna rada — ale nie podobna po karczmie nogi wybijać; z uśmiechem proszę o czas do odpoczęcia, druchny jednakże ustąpić nie myślą i nie chcą i kłaniają się i po swojemu najwdzięczniej proszą. Już miałem powtórnie pójść w tany, kiedy na moje szczęście a na większe, jak się później okaże, nieszczęście pijany grajek spadł ze stołu, świeczkę głową rzucił, zagasił — i zabawa ustała. — Chyżo zapalono inną świeczkę, ale co grajka, nie podobna im było roztrzeźwić. Pan młody i družbowie wpadli w *desperacyę*, panna młoda i druchny w osmucenie, które było zdolne i dzikiego człowieka poruszyć. Żal mi ich było serdecznie, podnoszę więc dwoma stronami i jednym szpagatem nawiązane skrzypice, otrząsam z piasku najniezgrabniejszy, jaki być może, smyczek i zarząłem od ucha tegoż samego obertasa. „O paniczku! o jelmożny panie!“ wrzasnęli z stron różnych, — „rączki jegomości ozłocimy! — a Bógże nam zesłał szlachcica.“ Chłopcy pochwytali dziewczęta i znów ogromne koło omijało komin, komorę i okna i było jak dawniej, tylko żwawiej, bom ja trzeźwy ostro smyczkiem docierał — Grałem ochotnie onego obertasa pół godziny z okładem; ale gdy ramię i cała ręka dalszej

posługi odmawiały, przydłuższem pociągnięciem i mocnem smyczką odbiciem zakończyłem moję dobrowolę. — Niezliczone podziękowania, gwałtowne prośby nudzić mnie zaczęły; — chcę zatem iść do stajni, by Jasio zaprzagał, alisci pan młody chwytą za nogi i prosi na miłosierdzie Boskie, bym grał jeszcze. Cóż począć? — nie nawykły szczerym prośbom odmawiać, biorę skrzypice, stroję, jak można najwyżej, i po małej chwili znów na osiebkę*) zarząłem i — rznąłem znów pół godziny. — Edwin donosi, że Jasio konie założył; przestaje więc grać i ani myśląc, abym doznał przeszkody, zbieram się do odjazdu, — gdy mnie na raz kilkanaście żelaznych dłoni ujęło za kołnierz i — jakoby nieusłuchane dziecko na stole gwałtem posadzony zostałem. — Tum dopiero spostrzegł, że się wdał w ciężką bardzo sprawę. „Graj parchu! **) zapłacimy a graj!“ — z całej siły krzyknął mi do ucha pan młody, — „a nie, te cię nauczymy“ — i pogroził pięścią tak blisko pod moim nosem, że mój zapach jego spoconej łapy należycie poczuł. Edwin, widząc srogą krzywdę swojego pana, wybiegł do stajni i natychmiast z Jasiem powraca.

Obadwaj, orczykami uzbrojeni, robią sobie przez tłum drogę i już, już we troje dobiera-

*) Walcowanie ku lewej stronie zowią parobcy w Poznańskiem na *osiebkę*, ma to być na *odsiebkę* czyli od siebie.

**) Rozgniewany chłop poznański nigdy inaczej szlachcica nie nazwie, tylko tym słodkim wyrazem „parchu.“

liśmy się do drzwi, gdy tłum trzydziestu najmniej chłopów, każdy jak dąb, stanął przed nami. Najpobożniejszy człowiek nie zdążyłby się był przeżegnać, a Edwin i Jasio pod kominiem już leżeli, a ja na stole siedziałem. Wieś była królewska, ani pana, ani rządcy, — wójt gminy mieszkał o milę, ale gdyby i o 500 kroków, kogoż posyłać po pomoc?

Ulegając najsmutniejszemu przeznaczeniu, rznąłem jak dawniej od ucha; moje posłuszeństwo umitygowało rozbastwionych; — przez roztwarte drzwi widziałem, że wyprzęgali konie, że żłoby owsem napelnili, że rzeczy moje znieśli do komory. Następnie spotyranym, Edwinowi i Jasiowi, dali pieczonej gęsi i gorzałki poddostatkiem; — pocziwcy, odebrawszy odemnie znak zezwolenia, jeść i pić, a w końcu i tańczyć poczęli — a jam grał jak najęty. Już było około 9tej rano, — żyły wystąpiły na czoło jakoby węże, oczy zczervenione ledwie się powiekom obronić zdołały, ale rznę zawsze tego na odsiebie; wreszcie zachwiałem się, skrzypice z rąk wypadły. Wówczas na prośby starszych gospodarzy, gdy i mniejszowy wytrzeźwiony grajek się znalazł, uwolniony zostałem od najsroźszej męczarni.

Na wsiadaniu serdecznie proszącym o przebaczenie wszelką darowałem urazę i Bogu za wybawienie dziękując, wyjechałem z tém postanowieniem, że przez całe życie w dni świą-

teczne, w dni hulank i zaślubin chłopskich mijać będę karczmy, chociażby w deszcz i śnieg i pod gołym niebem popasać przyszło.

W Szamotułach stanąłem dopiéro w środę nad rankiem; złożyłem pannie Hortensyi szczerę tłumaczenie, wyjawilem rzecz całą, lecz rozdasana piękność odrzekła:

— Zbyteczne są wyrazy pana, bardzośmy się dobrze bez niego bawili, — i podając rękę p. Edmundowi do ostatniego mazura, z uśmiechem dodała: — Pan zawsze z prawdą się mijasz!

Że panna Hortensya tak wyraźnie niełaskę mi swoją okazała, przestałem się dziwić, gdym kilka pań z pikniku na reducie zobaczył; — domyśliłem się bowiem, że o moich zalotach do czarnobrewej dziewicy stugębną wieść zasiały; — ale że mi panna Hortensya nieprawdę co do mojej smutnej przygody zadała, bardzo mnie bolało i obrażało, dla tego nie z nią ale ze skromną czarnobrewą dziewczcą w rok potem ożeniłem się.

Pozostaje mi prosić czytelników, aby za śladem panny Hortensyi nie poszli, aby mi wierzyć raczyli, że istotnie przez 12 godzin oberka na nędznej skrzypicy wyrzynać zmuszony byłem i że istotnie wielkopolscy włościanie o wiele od Mazurów zuchwalszymi są, — *nie mniej przeto ród pocziwcy i na kuli ziemskiej najukochańszy.*

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

SPIS RZECZY, w tomie trzecim zawartych.

	Stron.
Przypadek, który na własne oczy widziałem, — w istocie mały ale wielkiego wstydu narobił.....	9
Człowiek strzela, pan Bóg kule nosi.....	25
Salon literacki.....	79
Wspomnienie.....	109
Symplicyusz Rzeszotko	129
O piorunach	159
Pomyłki	167
Ułamek ze starej gawędy.....	181
Godzina zimy.....	191
Przygoda niezgorsza.....	205



58613

RECEIVED

1000 1000 1000



